

ECHO ZŁOTORYI

Nr 1 (177) 2022

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej: Pięgrzymka - Świerzawa - Wojcieszów - Zagrodno - Złotoryja



Cena: tylko 3 zł

ISSN 1897-4023



Zdrowy egoizm

Za kilka dni zagra WOŚP. To ten czas, kiedy Polacy już ustawili się po dwóch stronach barykady. Jedni opluwają Owsiaaka i liczą jego majątek, a drudzy opluwają opluwających w imię dobrych zasad. Mamy kolejny powód, by się podzielić, różniczkować, pomnożyć problemy, dodać sobie zasług i ująć innym autorytetu. Taka polska arytmetyka. Dzieje się to na samej górze i na spodzie naszej piramidy sortów. Jesteśmy tak spolaryzowanym społeczeństwem, że powód do sporu znajdziemy bez wysiłku.

Tylko po co to wszystko?

Czy akurat pomaganie musi mieć twarz polityki? Czy pieniądze dane z lewej bądź prawej strony mają inną wartość?

Gdzieś w tym całym zamieszaniu i sporze, czy prawo do pomagania ma WOŚP, czy Caritas, czy Szlachetna Paczka, czy Nasze Rio, czy Animus, czy cokolwiek innego, zapomina się o tych, którzy na pomoc czekają. A czekają bardzo i niecierpliwie, szczególnie ludzie chorzy, bo na tak zwaną państwową służbę zdrowia liczyć nie mogą. Tym bardziej teraz, kiedy pandemia totalnie obnażyła słabe strony NFZ-u.

Dlatego nie można tracić z oczu celu pomagania, bo czy to ważne, pod jakim szyldem będziemy wspierać człowieka, tego małego lub dużego? Najważniejsze, by pomoc dotarła, trafiła tam, gdzie jest najbardziej potrzebna i przyniosła oczekiwany skutek.

Może jestem naiwna, ale naprawdę nie jest dla mnie istotne, czy pieniądze na szlachetny cel zbiera lewak czy zakonnik, czy może wolontariusz z identyfikatorem lokalnego stowarzyszenia. Co więcej – wiem, ile taka praca – rozruszanie inicjatywy, załatwianie pozwoleń, szukanie sponsorów, werbowanie społeczników – kosztuje czasu i energii. I jak bywa niewdzięczna. Poznałam to na własnej skórze, kilkakrotnie kwestując na ulicach miasta czy prowadząc licytacje na cele charytatywne.

Sama kilka miesięcy w roku oddaję swój czas i pieniądze, działając w Szlachetnej Paczce kojarzonej z instytucją Kościoła, a kiedy przychodzi styczeń, idę licytować na WOŚP-ie, a znów kiedy w kościele sprzedają świece Caritasu, wyciągam z kieszeni kilkanaście złotych, bo przecież i świeca może się przydać. Mnie świeca, ludziom w potrzebie pieniądze.

Takie to proste. Dla mnie. Bo dopóki zarabiam i nie przymieram głodem, wiem, że mogę wysupłać z portfela choć trochę, by dać tym, którzy nie mają. I nie jest to, Bóg wie jaki altruizm, bo wyznają prostą zasadę – karma wraca. Może kiedyś przyjdzie ten czas, że to ja będę wymagać cudzego wsparcia. Taki mój egoizm. Egoizm, którego wyjątkowo się nie wstydzę.

 Iwona Pawłowska

Vitbis - The Brand część 2



Święta, święta, a po świętach...? W złotoryjskim „Vitbisie” nie ma okresu „po świętach”, tu zawsze jest „przed świętami”. Już w lutym rozpoczynają się międzynarodowe targi, gdzie kształtują się trendy i zawierają kontrakty na kolejny rok, na nadchodzące święta. Błażej Prus, Prezes Zarządu PPH „Vitbis” Sp. z o.o. w Złotoryi tak opowiada o swojej Firmie:

Targi są dla nas bardzo ważne, bo są miejscem spotkań z dużymi klientami z Europy Zachodniej, a ten rynek jest dla nas bardzo ważny. Na targach często odbywamy rozmowy zarówno kurtuazyjne, jak i robocze na temat doboru wzorów i doprecyzowania transakcji. Gdy w 2020 roku zabrakło targów, byliśmy mocno przestraszeni i zastanawialiśmy się, gdzie i jak spotkamy się z kilkunastoma naszymi największymi odbiorcami. Jednak ludzie na całym świecie zrozumieli, że wszyscy borykamy się z problemami wynikającymi z pandemii. Ponieważ nie było możliwości spotkania się, to po prostu trzeba było nam zaufać. Nasi odbiorcy nam zaufali a my ich nie zawiedliśmy. Jesteśmy przecież firmą, która nieprzerwanie od 30 lat działa jako fabryka bombek.

Mamy wielu klientów, z którymi współpracujemy już 40 lat, którzy są przywiązani do naszych produktów ze względu na sentyment. Na przykład z naszym największym kontrahentem, firmą holenderską, handlowaliśmy od 1981 roku jeszcze poprzez Centralę Handlu Zagranicznego. W pierwszej dekadzie lat dwutysięcznych i pod koniec lat 90. to było tylko kilkudziesięciu klientów. Obecnie w swoim portfelu sprzedażowym mamy ich ponad 300. Nie dość, że bardzo mocno weszliśmy w znane sieci sprzedażowe, to jeszcze doszło nam sporo klientów butikowych w Europie Zachodniej. Jest to dosyć wymagający rynek, ale udało nam się zdobyć ich zaufanie. W zdobywaniu tego zaufania pomaga nam budowanie długoletnich relacji wśród pracowników zatrudnionych w „Vitbisie”. Tego rodzaju biznes prowadzą specyficzni ludzie i dla nich ważną kwestią jest „rodzinnosc” naszej firmy.

W latach 90. i 2000. wśród starych kupców Złotoryja kojarzona była

jednoznacznie z bombkami i „Vitbisem”, to świadczy o naszej marce. Dzisiejsze pokolenie kupców, którzy są 30-, 40-latkami, wie co to jest „Vitbis”. Duże sieci przekazują sobie informację o naszym produkcie i zaufanym dostawcy na zasadzie polecenia. Jeżeli na przykład sieć „Liroy Merlin” zamawia u nas bombki, to za nią idą inne, takie jak „Obi” czy „Castorama”. W ten sposób wieści się rozchodzą. Dodatkowo to, że jesteśmy w sieci

niemieckiej, automatycznie powoduje, że inne europejskie sieci chcą z nami współpracować. Współpracujemy też z siecią Lowe’s, która jest trzecią pod względem wielkości w Stanach Zjednoczonych, co oznacza, że obraca dziesiątkami miliardów dolarów. Ta sieć ma najbardziej rozbudowane i restrykcyjne procedury. Już to powoduje, że jesteśmy rozpoznawalni i darzeni zaufaniem przez innych kontrahentów. A im wszystkim chyba dobrze się z nami współpracuje. Tak wygląda nowoczesny rynek zbytu, przesiąknięty kontrolami i audytami, gdzie nie ma mowy o bylejakości.

W pierwszej dekadzie lat dwutysięcznych rynek chiński stanowił ogromną konkurencję. W tym czasie mój ojciec wziął kredyty i postawił całą linię produkcyjną bombek prostych, które miały być pakowane w tuby, pod naszego pierwszego kontrahenta. Był to masowy, typowo marketowy produkt. Chwilę po postawieniu tej linii kontrahent stwierdził, że może takie bombki kupić o parę groszy taniej od naszych i zrezygnował z naszego produktu. Było to w 2004 r. i firma była w związku z tym na skraju bankructwa. Ale udało nam się przetrwać, a ojciec stwierdził, że nie można opierać się na jednym odbiorcy i sukcesywnie zaczął tworzyć portfel sprze-

dażowy. To właśnie Chińczycy nas trochę zmusili do wyjścia ze sprzedaży najtańszego produktu. Byli tak absurdalnie tani, że nie było możliwości z nimi konkurować, także ze względu na inną technologię. W pewnych segmentach nie liczy się jakość, ale cena, więc tam nie byliśmy w stanie konkurować.

Obecnie proponujemy dużo lepszy jakościowo produkt i mamy na niego zbyt. Chińczycy nie stanowią już dla nas konkurencji, jesteśmy od nich lepsi. Obecnie prawie dziesięciokrotnie wzrosły koszty transportu. Do tej pory za jeden kontener z Azji trzeba było zapłacić od tysiąca do tysiąca pięciuset dolarów. W tym roku potrafił kosztować nawet do 16 tys. Produkcja chińska i importowanie jej do Europy przestały być opłacalne. W związku z tym mamy ogromną liczbę odbiorców, którzy pytają o nasz produkt, bo rezygnują z dostawców chińskich. Chiny są daleko, a my jesteśmy tu i możemy w ciągu jednego dnia dostarczyć towar do każdego państwa w Europie. W związku z tym dostajemy zapytania od dawnych klientów, nawet od tego, który kiedyś omal nie „wywrócił” nam firmy.

Z sieciami handlowymi pracuje się trudno, ale nasi kontrahenci bardzo doceniają fakt, że jesteśmy pewnym i stabilnym dostawcą, który nie spóźnia się z wysyłką towaru. Szczególnie ważne było to i jest w takim „covidowym” czasie. Mimo sygnałów z zewnątrz o wstrzymywaniu dostaw, my nie wstrzymaliśmy produkcji. Na szczęście okazało się, że sklepy były otwarte i wszyscy klienci odebrali nasz zamówiony wcześniej towar. Ludzie, jak przyszedł święta, łaknęli kontaktu z innymi ludźmi i sklepami, więc popyt na ozdoby choinkowe nie osłabł. Dlatego rok 2020 okazał się dla nas dobry pod względem płynności zamówień. Niestety 2021 rok już nie był zbyt dobry przez problemy w transporcie. My także bardzo dużo komponentów importujemy z dalekowschodniej Azji i poza wzrostem kosztów pojawiły się też opóźnienia. Wcześniej czekaliśmy na transport około 5 tygodni, a teraz ten czas wydłużył się do 3 miesięcy. W związku z tym nie mogliśmy wywiązywać się z umownych terminów dostaw i często byliśmy zmuszeni do zmian harmonogramu wysyłki lub produkcji. Ostatecznie jednak udało nam się zatowarować wszystkie nasze kontrakty na poziomie 99%, co jest bardzo dobrym wynikiem. Kosztowało nas to sporo nerwów, ale ostatecznie wszystko dobrze się skończyło. Mie-



liśmy nawet sygnały od zachwyconych kupców, którzy nas podziwiali za to, że okazaliśmy się jednym z niewielu dostawców, który dostarczał towar na czas. To jest bardzo budujące. Jesteśmy dobrze oceniani przez odbiorców zarówno europejskich, jak i amerykańskich, a jak zadowoleni są nasi kontrahenci, to i my jesteśmy zadowoleni. Jedno co nas martwi, to rosnące od ubiegłego roku koszty, no ale to dotyka wszystkich producentów.

W handlu zachodzą duże zmiany i próbujemy się do tego dostosować. W zeszłym roku, gdy pojawiła się pandemia

sprzedaży internetowej. Aktualna kwestia to teraz dostosować się do ich wymagań i wstrzelić się z dobrym produktem na dobre rynki.

Jeżeli chodzi o trendy, to w ostatnich latach zmienia się wzornictwo. Zazwyczaj było tak, że polska choinka to była choinka tradycyjna, czyli pstrokata. Dominowały kolory świąteczne, czyli złoty, czerwony, zielony. Taka sama była choinka w USA. Istotną różnicą między polską a amerykańską choinką było to, że Amerykanie musieli mieć dużo przesadzonych dekoracji, bardzo mocno ornamentowych i ociekających złotem. I o dziwo ten styl nadal tam się utrzymuje. Od zawsze są tam popularne bombki granatowe i niebieskie. Te kolory nigdy nie były popularne w Polsce.

Natomiast Europa Zachodnia połączyła wygląd choinki z wystrojem wnętrza. Tak jak są mody ubraniowe, tak przekłada się to na rodzaj ozdób świątecznych. I tutaj mamy wprost przeniesione motywy ze świata mody, czyli jeżeli w ostatnich latach są modne elementy florystyczne, to pojawiają się one też na bombkach. Jeżeli we wnętrzach jest modny biały kolor, to też białe bombki zdobią choinkę. Kolor biały jest bazą i do niego dobierane są kolory pod wystrój wnętrza domu czy mieszkania. Ostatnio popularny jest granat z bielą, kolekcja glamour ze złotym i czarnym. Rynek polski przez ostatnie dziesięć lat zaczął bardzo mocno ewoluować. Przeszedł być tradycyjny i robi się coraz bardziej europejski. Choinka musi być gustowna i ubrana z jakimś motywem lub kolorem przewodnim. Najpopularniejszą formą bombki i najchętniej kupowaną jest „ogórek”. To kultowy produkt w Stanach Zjednoczonych. Tam jest taka tradycja, że prezenty otwiera się w Boże Narodzenie rano. Kto pierwszy się obudzi i znajdzie na choince „ogórka”, ten będzie miał największe szczęście w przyszłym roku. Dlatego na każdej szanującej się w USA choince musi wisieć „ogórek”. Ta tradycja przenosi się też do Europy. Oficjalnie ten zwyczaj ma swój początek w Niemczech, ale nie utrwalił się tam na stałe, przejęli go Amerykanie i teraz w innych krajach się do niego wraca.

Święta Bożego Narodzenia są wyjątkowym okresem w roku i każdy ma do niego sentyment, chociażby ze względu na wspomnienie dzieciństwa, a my bazujemy na tych fajnych emocjach.

Beata Jańta



Mariusz Stalski

i odwołano nasze targi branżowe, musieliśmy w ekspresowym tempie otworzyć platformę sprzedażową dla klientów biznesowych. Mamy też i rozwijamy sklep internetowy, który jest przedłużeniem sklepu firmowego. Planowaliśmy to zrobić już od wielu lat, ale nigdy nie było motywacji, aż w końcu Covid nas do tego zmusił. To się bardzo dobrze sprawdza i zamierzamy ten rodzaj sprzedaży rozszerzać i ulepszać. Wchodzimy także we współpracę z „Amazonem”, jesteśmy obecni na „Zalando” i cały czas szukamy innych kanałów

Święty Franciszek z Asyżu żył w średniowieczu, w XII wieku. Jego ojcem był bogaty kupiec, sukiennik Pietro Bernardone. Franciszek był bardzo towarzyski, szastał pieniędzmi ojca, który w swoim jedynym synu widział swojego następcę. Tak się nie stało. Dlaczego?

O tym opowiada piękny film Franco Zefirellego „Fratello sole, sorella luna” (Brat słońce, siostra księżyc). Pokazuje on beztróską i radosną młodość św. Franciszka który był bardzo towarzyski, miał pieniądze, które chętnie wydawał. Jednak nie widział źródła tych pieniędzy, ukrywano to przed nim. Jego ojciec produkował i sprzedawał sukno, a produkcja odbywała się w piwnicach pod sklepem. Któregoś dnia Franciszek właśnie tam trafił. Zobaczył ludzi, którzy pracowali w strasznych warunkach, farbowali tkaniny w parujących kadziach, które wydzielaly zżące i cuchnące opary. Zobaczył ciemną, zaparowaną piwnicę, bez żadnego przewiewu. Ci ludzie w takim miejscu pracowali na jego bogactwo. To nim wstrząsnęło. Powyciągał robotników na słońce i osuszył. Tak przedstawiono to w filmie, co było bezpośrednią przyczyną jego buntu przeciw ojcu.

Dlaczego właśnie aż w ten sposób zareagował Franciszek? Dlaczego poczuł dla tych ludzi współczucie?

To były dwa światy: bogactwa i ubóstwa. Nawet w kościołach był widoczny ten rozdział. Miejsce bogatych było przy ołtarzu, w pierwszych ławkach, gdzie chętni się swoimi bogactwami strojami i klejnotami. Tym wiernym chodziło głównie o to, aby pokazać swoje bogactwo. Franciszek podczas mszy również zajmował miejsce bogaczy, wraz z rodzicami. Natomiast biedacy stali z tyłu kościoła i to właśnie oni brali czynny udział w mszy, przeżywali ją, autentycznie się modlili, mimo że nie znali łaciny (liturgia wtedy była po łacinie). Po incydencie z pracownikami ojca Franciszek właśnie w swoim kościele zauważył ogromną przepaść między bogatymi i biednymi. Wtedy wrócił do domu i porozdawał ubogim bele sukna ze sklepu swojego ojca. Myślał, że pozbywając się bogactwa, postępuje słusznie. Niestety to rozgniewało Pietra Bernardone, który wyrzucił syna z domu i podał do sądu, żądając zwrotu pieniędzy. Sąd był tylko biskupi. Na rynku w Asyżu Franciszek, chcąc pokazać, że zrywa ze światem ludzi bogatych i przechodzi na stronę lu-



Ten, co się rozmyślał w ubóstwie

Tą rozmową pragniemy przybliżyć czytelnikom postać niezwykle go i fascynującego człowieka – św. Franciszka z Asyżu, założyciela zakonu franciszkanów.

Z ojcem Bogdanem Koczorem, franciszkaninem, proboszczem parafii św. Jadwigi w Żłotorii rozmawia Agnieszka Młyńczak.

dzi ubogich, zdejmując z siebie ubranie i oddając ojcu. Odchodzi wolny, jak pokazuje wzruszająca scena w filmie. Zostawia też ojcu swoje nazwisko i od tej pory używa wyłącznie imienia.

Bogactwo nie dawało Franciszkowi spokoju, paliły ciało drogocenne suknie i kosztowności, mierzili pieniądze. Sprzedał konia, bele sukna, teraz mieszka w norach, a trędowatych i bezdomnych uważa za swoich braci. Przybrał pustelniczy ubiór, przepasał się sznurem i zaczął się tulać. Uważano, że po prostu zwariował, a on rozmyślał się w ubóstwie.

W tamtych czasach pojawiały się sekty, grupy ludzi, którzy występowali przeciwko bogactwu. Chęć powiedzieć, że Franciszek nie występował przeciwko bogactwu, lecz jego celem było po prostu być z biednymi, jednoczyć się z nimi. Chciał w ten sposób naśladować Chrystusa. Niedaleko Asyżu znalazł kościół św. Damiana, opuszczony i zdewastowany, jednak w środku był krzyż. Franciszek uklęknął przed tym krzyżem i zapytał: „Panie, co chcesz, abym uczynił?” Jezus mu odpowiedział: „Idź i odbuduj mój kościół”. Franciszek zrozumiał to dosłownie i zabrał się do odbudowy tego właśnie kościoła.

Czy ktoś mu w tym pomagał? Miał jakieś fundusze?

Gdy zaczął odbudowywać kościół św. Damiana, robił to konsekwentnie, bowiem do tego powołał go Jezus. Franciszek sam zbierał kamienie polne i przynosił do kościoła, sam robił zaprawę, nikogo nie prosił o żadne fundusze, więc posądzano go o szaleństwo. Jednak z czasem zaczął zyskiwać szacunek i zaczęli do niego przychodzić jego dawni kompani, przyjaciele. To oni stanowili jego pierwszą drużynę, zaczął zakon. Z jedenastu mężczyzn wspólnota św. Franciszka, jeszcze za jego życia, po niespełna dwudziestu latach, rozrosła się do ponad pięciu tysięcy braci!

Wtedy Franciszek przywdział brązową tunikę z szorstkiego materiału, która w tamtych czasach stanowiła typowo plebejski ubiór. Przepasał się sznurem, nie paskiem. Czy to stąd wzięły wzór habitów franciszkanów?

Tak, to prawda. Tunika, będąca pierwszym habitem, to były pozszywane kałki tkaniny z szorstkiego i grubego materiału. Oryginalny habit św. Franciszka jest obecnie przechowywany w

Sacro Convento w Asyżu. Ten ubiór był lichej, nie było w tym żadnego zamysłu artystycznego. Ważne, aby tunika po rozłożeniu miała kształt krzyża.

Czy droga do świętości Franciszka była skutkiem tego, że żył w średniowieczu? Święta Jadwiga, która żyła w tych samych czasach, kroczyła podobną drogą, też wyrzekła się bogactwa.

W średniowieczu zaczęły powstawać zakony żebracze, to byli dominikanie i franciszkanie. Natomiast cysterki czy benedyktyni utrzymywali się z dóbr ziemskich i wielkich latyfundiów. Gdy św. Franciszek przybył do papieża, prosił go o zezwolenie na założenie wspólnoty, został zapytany, z czego będą się utrzymywać. Gdy papież Innocenty III usłyszał, że nie mają nic i będą żyć według Ewangelii, miał powiedzieć: „Niemożliwe jest życie według Ewangelii”. W końcu jednak udzielił zezwolenia na założenie wspólnoty, bo miał sen. Oto widział we śnie, że kościół na Lateranie się wali, a podpira go człowiek w brązowym habitcie. Papież zrozumiał to tak, że Franciszek odbuduje walącą się instytucję Kościoła.

W życiu św. Franciszka była też Klara Ofreduccio, która również została świętą. Prawdopodobnie jako młodzi ludzie znali się, spędzali ze sobą czas.

Klara na pewno była świadkiem, jak Franciszek rozdał swoje rzeczy na rynku w Asyżu. Ona pochodziła z rodziny bardzo majątnej, niemalże książęcej. Z całą pewnością słyszała o jego działalności i w pewnym okresie swojego życia zapragnęła naśladować Jezusa ubogiego, tak jak robił to Franciszek. Przyszła do jego wspólnoty po to, żeby żyć z nimi. Ale przecież bracia nie mogli mieszkać razem z siostrą, z kobietą. Wtedy brat Franciszek założył drugi zakon franciszkański właśnie dla kobiet. Klara została jego pierwszą przełożoną.

Gdy Klara wstępowała do klasztoru, widziała wokoło twarze wychudzonych braci, między którymi była najdroższa dla niej twarz Franciszka.

Można sobie wyobrazić wątek niespełnionej miłości, bo być może z tego powodu chciała być blisko niego. Przecież to Franciszek pomógł jej w ucieczce z domu, aby mogła przywdziać habit.

To nieprawda, nie pomagał jej w ucieczce, bo wtedy prowadził już swoją wspólnotę. Klara została w tamtym bogatym świecie, który on przecież porzucił. Lecz

już po wstąpieniu Klary do wspólnoty, często z Franciszkiem pracowali razem, opiekując się na przykład trędowatymi. Na pewno czuli do siebie ogromną sympatię i szacunek. Nie nadużywałbym słowa miłość, bo to określenie mocno się zdewaluowało.

Bracia we wspólnocie byli zarośnięci i brudni. Musieli wyglądać odrażająco.

A mimo to wspólnota się powiększała, a za nimi szła sława świętości. Czy trzeba być brudnym i odrażającym, aby być świętym, że tak zapytam prowokacyjnie?

Jednak ich wygląd był równoważony poprzez sposób życia braci. Mieli w sobie dużo dobra, ciepła, życzliwości, radości, czym właśnie przyciągali ludzi. Oni nie byli pokutnikami, biczącymi się, jak wiele w tamtych czasach, to była radosna wspólnota.

On rozmawiał z ptakami, dla niego bliźnim był i człowiek, i jagnię, które wykupuje i oswabadza. Gdy szedł myć ręce w strumieniu, to stąpał po kamieniach, aby nie deptać wody. Świeczki nie gasił, bo litował się nad ogniem. Uważał, że w ogrodzie ma być miejsce i na warzywa, i na chwasty, bowiem Bóg wszystko stworzył dla człowieka.

To mocno filozoficzne podejście do tych zagadnień, wskazujące na głębokie przemyślenia. Zrozumieli to współcześni przyrodnicy i ekolodzy, na których prośbę papież Jan Paweł II ogłosił w 1979 r. brata Franciszka patronem ekologów.

Brat Franciszek zaraził ludzkość poprzez nowe podejście do istot żywych, do świata przyrody. O wodzie i ogniu mówił, że to jego bracia. Personifikował te żywioły, dzięki czemu stawały się istotami żywymi. Jednym z najpiękniejszych utworów, który mu się dedykuje, jest „Pochwała stworzenia”. W nim między innymi pisze: „Pochwalony bądź, Panie mój, ze szlachetnym bratem naszym, słońcem / Pochwalony bądź, Panie mój, przez brata naszego, księżyc i nasze siostry gwiazdy / Pochwalony bądź, Panie mój, przez brata naszego, wiatr i przez powietrze, i chmury, i pogodę.” To poczucie jedności z przyrodą przekazywał swoim braciom. Wśród nas obecnie są miłośnicy zwierząt, inni kochają rośliny. Franciszek był tym wszystkim. A co najważniejsze, potrafił to odnieść do Boga,

bowiem dzięki Niemu mamy to piękno, to Bóg jest tym, który stworzył i jagnię, i piękne rośliny, i wszelkie stworzenie.

Gdyby żył dłużej, to może napisałby jakiś traktat filozoficzny? Przecież umiał pisać, co było rzadkie w owych czasach.

Myślę, że nie. Święty Franciszek pozostawił po sobie bardzo mało pamiątek pisanych.

Skoro tak kochał wszelkie stworzenia i nie chciał, aby robiono im krzywdę, to dlaczego zadawał cierpienie swojemu ciału? Głodził się, spał na gołej ziemi, chodził boso. Pościł po 40 dni! Przecież od tego można było ciężko zachorować lub umrzeć.

Można, ale on przeżył. Franciszek swoje ciało nazywał bratem osiołkiem, a osiołka trzeba pilnować, nałożyć wędzidło i uzdę, poskramiać go. Dać mu tyle jedzenia, aby nie umarł. Ciało (tego osiołka) należy ćwiczyć poprzez prace, umartwienia i posty.

Porozmawiajmy o stygmatach, jakie otrzymał św. Franciszek.

Na jego rękach i nogach były rany, jakie widział u Chrystusa: dłonie przebite w środku gwoździami, a na prawym boku rana, z której płynęła krew. Jego tunika i spodnie wielokrotnie były zraszane krwią.

Osobiście mam do tego sceptyczne podejście, to mogły być objawy szkorbutu od wiecznego niedojadania i lichego pożywienia.

W średniowieczu były tysiące ludzi, którzy głodowali i cierpieli niedostatek, a nie byli stygmatykami. Kościół potwierdza stygmaty tylko u trzech osób: to św. Paweł, św. Franciszek i ojciec Pio z Pietrelciny. Franciszek otrzymał stygmaty dwa lata przed śmiercią, wstydził się tego i próbował ukrywać. Jednak bracia wiedzieli o tym, bo go opatrywali aż do śmierci, rany w ogóle się nie goiły. Zamknęły się w jednym momencie po śmierci i to było niewytłumaczalne. Stygmatyk przez przyjęcie ran ujmuje Jezusowi cierpienie, jakich zaznał na krzyżu.

Brat Franciszek jako pierwszy w historii urządził w nocy z 24 na 25 grudnia 1223 roku w Greccio pierwszą szopkę bożonarodzeniową. Przedstawiała ona wnętrze stajenki betlejemskiej w naturalnej skali wraz z osobami i żywymi zwierzętami. Św. Franciszek pragnął w

ten sposób przybliżyć prostym ludziom narodziny Jezusa. Może ojciec opowiedzieć o tym więcej?

Franciszek chciał pokazać narodziny Jezusa jako zwyczajne wydarzenie. Oto kobieta urodziła dziecko, a ponieważ to się odbyło w szopie, w najbliższym otoczeniu był wół, osioł, pastuszkowie. W szopce wzięli udział mieszkańcy Greccio, były żywe zwierzęta. Niezwykłe było to, że pojawiło się też żywe niemowlę w objęciach kobiety. W wigilię Bożego Narodzenia wywołało to entuzjazm współczesnych. W następnych latach budowanie szopek przed Bożym Narodzeniem stało się charakterystyczne dla wspólnot franciszkańskich. Dzisiaj szopka jest budowana w każdym kościele katolickim, lecz najbardziej okazałe, najbogatsze i najpiękniejsze są szopki u braci franciszkanów. Chcemy pokazać misterium które za tym się kryje. Nie chwalebę się, lecz mam pełną świadomość, że tak jest.

Pozwoli ojciec, że przejdziemy do teźniejszości. Jakie idee i pomysły na życie wspólnota franciszkanów na wzór św. Franciszka kulturywuje obecnie? Długotrwałe posty, bardzo skromne wyżywienie, ubóstwo (w czym się wyraża), budowanie nowych świątyń?

Mineło ponad osiemset lat od czasu, gdy żył św. Franciszek. Jeśli chodzi o ubóstwo, to niestety współczesny świat niewiele nam zostawił do wyboru. Musimy mieć samochody, żeby się szybko przemieszczać, bo boso i piechotą nie zajdę daleko. Musimy mieć telefony komórkowe, komputery, bo bez tego jesteśmy bezradni. To tylko św. Franciszek potrafił coś zrobić bez pieniędzy. My już tego nie potrafimy. Natomiast naszym naczelnym zadaniem jest być z ludźmi prostymi, ubogimi, chorymi, wyrzucenymi poza nawias społeczeństwa. To według mnie jest najważniejsze przesłanie, jakie przekazał nam nasz ojciec – święty Franciszek.

Bardzo dziękuję za inspirującą rozmowę. Szczęść Boże!

Fragmenty tekstu wyróżnione kursywą to cytaty z książki „Zaczęto się w Asyżu” – Czesław Ryszka.

Ilustracja do artykułu Święty Franciszek z Asyżu – obraz z kaplicy w klasztorze franciszkanów autorstwa Mariusza Palucha, byłego tatuażysty.

Agnieszka Młyńczak

Po co?

Tegoroczni maturzyści z uwagą przysłuchiwali się ministerialnym komunikatom, które – im bliżej studniówki – brzmiały coraz bardziej dramatycznie jeśli chodzi o rozwój pandemii. Do końca nie było pewne, czy studniówka się odbędzie. Ale młodzi nie tracili wiary i czynili przygotowania do tego ich pierwszego dorosłego balu. Zakup kreacji, wizyty u kosmetyczek, barberów, stylistek fryzur i paznokci...i rzecz jasna – szkolne próby poloneza. I wreszcie nadszedł ten dzień, kiedy wszystko można było zaprezentować w pełnej okazałości. Elegancka, lekko stremowana młodzież ze swoimi gośćmi stanęła do poloneza, by uroczystie rozpocząć bal. Zatańczyli tak, jak umieli najlepiej. Nam, nauczycielom duma uderzyła o serca a rodzicom zakręciła się iza w oku. Relacja na żywo z tańca została umieszczona na licealnym fejsbuku.

Zaraz posypały się gratulacje, słowa ciepła, życzliwe, życzenia powodzenia na

maturze. Koledzy, rodzice wysyłali serduszka i lajki. Ale jak to bywa w życiu i w beczce miodu - zawsze musi pojawić się łyżka dziegciu.

„Ale oni smutni”, „Tańczą jakby kij połknęli”, „Tylko ten pierwszy umie tańczyć, reszta nie”, „Te kreacje nie pasują, do poloneza”... Mniej więcej tak komentowali - nieliczni co prawda - obserwujący stronę internauci. I wcale nie byli to młodzi, zblazowani, zawistni rówieśnicy. Co mnie zdziwiło najmocniej, okazało się, że takie uwagi piszą ludzie dojrza-li, by nie powiedzieć – przejrza-li.

Zrobiło mi się smutno, że to właśnie ludzie w moim wieku i starsi nie zachowali klasy, że na łeb ich bije w empatii młodzież, rówieśnicy maturzystów. Żenujące w moim odczuciu jest wbijanie szpilek, szczególnie w sytuacji, gdy nikt komentującego nie prosi o zdanie. Wielokrotnie mówiłam, że jeśli nie ma się nic dobrego czy mądrego do powiedzenia, lepiej nie tracić energii na mówienie lub pisanie, bo jest to po prostu niegrzeczne i szkodliwe.

Wielokrotnie też pisałam o hejcie, jak jest toksyczny i że de facto bardziej charakteryzuje hejtera niż hejtowanego. Wielu z nas to rozumie. Pojmują to szczególnie ci, którzy z racji doświadczenia wiedzą, jak wyglądają współcześnie relacje międzyludzkie mocno podkręcone przez media, w tym społecznościowe. Ja – będąc osobą mocno okrzepłą w emocjach - potrafię to zrozumieć i z tym żyć. Tylko ja jestem dorosła i mam mozolnie przez lata budowane poczucie własnej wartości i umiem znieść ewentualne słowa krytyki, bardziej lub mniej uzasadnionej, a nawet tej totalnie bezinteresownej niezyczliwości. Co innego młodzi ludzie, którzy dopiero uczą się świata. Czy naprawdę trzeba już na starcie pozbawić ich wiary w siebie? Wpędzić w kompleksy? Wywołać poczucie wstydu? Naprawdę zależy nam na sfrustrowanym i zgorzkniałym pokoleniu? Po co? Wystarczy nam chyba to, którego reprezentanci popisali się recenzowaniem studniówkowego poloneza.

Iwona Pawłowska



PKS leci

Dziś już mało kto jeździ autobusami, ale kiedyś transport kołowy oraz kolejowy to były podstawowe sposoby przemieszczania się. Poniżej prezentuję ciekawe zdjęcie z budowy dworca PKS przy ul. Legnickiej w Złotoryji. Nowoczesny, jak na tamte czasy, dworzec powstał w 1980 roku. Posiadał dużą oświetloną wiatę z kilkoma stanowiskami, ogrzewaną poczekalnię, toaletę, kasę oraz pomieszczenie dyżurnego ruchu, który przez megafony zapowiadał połączenia autobusowe. Wcześniej autobusy „startowały” z rynku, spod „delikatesów” a poczekalnia znajdowała się w dzisiej-

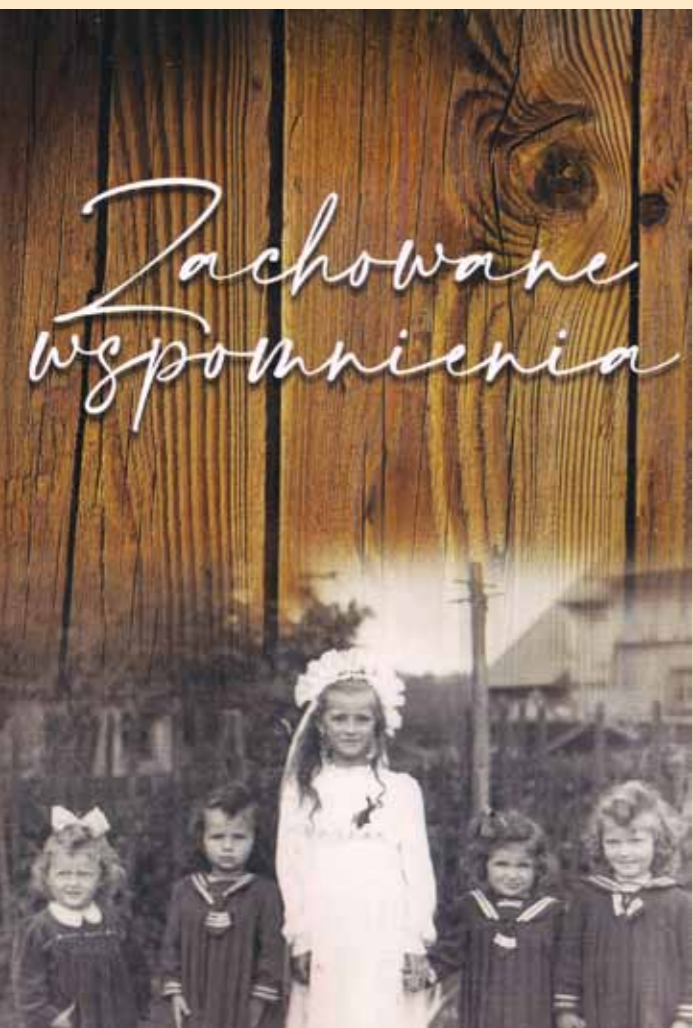
szym sklepie „Moda”. W okresie przejściowym tymczasowo dworzec znajdował się przy ul. Krótkiej/Legnickiej – okolice postoju taksówek. Warto nadmienić, że w Złotoryi znajdowało się kilka przystanków m.in. na



Fot. Muzeum Historyczne w Lubinie.

Przemysław Markiewicz





wsze kogoś tracili. Jak Pani sądzi, czy udało im się przebaczyć, czy zabiorą tę traumę do grobu?

Większość z nich ma do dzisiaj przed oczyma, po kilkudziesięciu latach, to, co widzieli i przeżyli jako dzieci. Śni im się to w nocy. Niektórzy pogodzili się z tym, ale dopiero, gdy stanęli po latach nad grobem utraczonych bliskich. Wielu było po wojnie na Wschodzie, ale byli też tacy, którzy absolutnie nie chcieli tam pojechać nawet na wycieczkę. Czy uda się im przebaczyć? Trudno powiedzieć... Tak dużo też zostało wylanych.

Oprócz bolesnych wspomnień z Kresów, z tekstu przebija się radość życia. Pani rozmówcy, przyjeżdżając na ziemię zachodnie rozpoczęli normalne życie. Tu się uczyli, podejmowali pracę, zakochiwali się, zakładali rodziny i wychowywali dzieci. Co według Pani było ich siłą napędową?

Chcieli powrócić do normalności, zapomnieć o strasznych wspomnieniach. Na początku uważali, że są tu na krótko, że powrócą w rodzinne strony. Stopniowo przyzwyczajali się do nowego miejsca. Ważnym elementem ich życia była praca. Oni nie tylko musieli, ale chcieli i lubili pracować. I, oczywiście troska o rodzinę, która stanowiła bodziec do ułożenia sobie życia w nowym miejscu. Z ich relacji przebija także wiara w Boga i nadzieja na lepsze jutro.

15 stycznia 2022 roku, w Zagrodnie odbyła się uroczysta premiera książki „Zachowane wspomnienia” pod redakcją Wiolety Michalczyk przy współpracy Barbary Szczygielskiej. Przy tej okazji udało mi się przeprowadzić rozmowy z obiema Paniami.

Andrzej Wojciechowski: Jestem jedną z nielicznych osób, która mogła zapoznać się z książką jeszcze przed jej premierą. Przyznam, że jestem zaskoczony, bo mimo, że spodziewałem się osobistych relacji, to ich głębia mnie poraziła. Czy w czasie pracy nad takim dziełem, możliwe jest odseparowanie się od tych jakże osobistych zwierzeń?

Wioleta Michalczyk: Bardzo cieszę się, że mogłam wysłuchać zwierzeń moich bohaterów. Chcę im podziękować, że obdarzyli mnie zaufaniem, ponieważ niejednokrotnie w rozmowach wychodziły na jaw fakty z ich życia, których nie ujęliśmy w książce, zbyt bolesne, czasem wstydlive. Nie da się odciąć od tego, co się usłyszało. Często zadawałam sobie pytanie: „Jak oni to robią, że mimo tak trudnych przeżyć, są tacy pogodni?”

Niemal wszyscy Pani rozmówcy wskazują, że w miejscu, gdzie mieszkali na Kresach, spotkała ich straszna krzywda. Wymordowano całe rodziny, a Ci nieliczni którym udało się uciec, za-

traktowane jako przejaw korupcji. Wtedy uczniowie pracowali także na szkolnym polu i w przyszkolnym ogródku. Było to naturalne i nikt, nie protestował: ani dzieci, ani rodzice. Zarabiali w ten sposób na potrzeby szkoły. Za pracę w domu nauczycielki dostawali od niej ciastka, czyli rarytas w tamtych czasach. Obecnie dzieci nie chcą pomagać rodzicom w domu, a co dopiero tylko za ciastka.

Ile czasu zajęły Pani spotkania z bohaterami książki?

Właściwie zaczęło się to już rok temu, w styczniu - od artykułu w „Echu” o pani Helenie Czak. Potem, praktycznie od maja do końca października, miałam czas wypełniony podróżami do Zagrodna i Uniejowic oraz spotkaniami z osobami, które zdecydowały się podzielić ze mną swoimi wspomnieniami. Czasem było to parę razy w tygodniu, czasem raz. Zależnie od tego, czy jechałam na wywiad, czy na jego autoryzację albo po zdjęcia. Przyznam, że niekiedy musiałam powstrzymać, szczególnie te najstarsze osoby od powtórnego opowiadania ich przeżyć. Nie zawsze się to udawało. W maju ukazał się jeden z wywiadów jako zapowiedź publikacji. I na szczęście, ponieważ jego bohaterka – pani Maria Socha, nie doczekała, niestety, ukazania się książki, podobnie jak pani Helena.

Jak w praktyce wyglądała praca nad książką?

Oczywiście trzeba było umówić się na wywiad, ale najpierw przekonać daną osobę, aby zechciała go udzielić. Tym zajmowała się pani Barbara Szczygielska. Jako mieszkanka Zagrodna, zna większość tych osób osobiście. Jako obca, musiałam dopiero zdobyć ich zaufanie. Potem, przeważnie razem z Basią udawałyśmy się na spotkanie. Prosiłam zwykle o zgodę na nagrywanie, ponieważ te rozmowy trwały niejednokrotnie długo, czasem 2-3 godziny. I jeszcze dochodziło szukanie i oglądanie zdjęć.

Nie zawsze udało się je od razu opisać, więc robiłam to przy okazji autoryzacji tekstu. Zdjęcia skanowałam, jeśli właściciel mi je pożyczył do domu. Czasem, ale rzadko musiałam zrobić zdjęcie telefonem. Rozumiem takie osoby, bo bały się, aby ich, nierzadko jedyne pamiętki ze Wschodu, nie zaginęły. Potem chyba najbardziej mozolna praca, czyli spisywanie nagrań, porządkowanie chronologiczne opisanych wydarzeń. Pozwalałam mówić im to, co pamiętają, czasem

podrzucając pytania, aby im było łatwiej. Dalej to już tak, jak zwykle, czyli wybór zdjęć, przygotowanie indeksu nazw geograficznych, korekta tekstu, skład i druk. Jednym słowem: godziny mozolnej pracy przy komputerze. Oczywiście nie do uniknięcia były pomyłki, ale „Nie myli się ten, kto nic nie robi”.



Skąd w ogóle wziął się pomysł na książkę?

Pomysł podsunęła mi Basia Szczygielska, która przy okazji styczniowego spotkania u pani Czak, dowiedziała się, że w gminie Pielgrzymka powstały trzy takie książki z historiami osadników. Po ich przeczytaniu powiedziała, że ma takie marzenie, aby spisać opowieści starszych osób z Zagrodna i Uniejowic, które stanowią jedną parafię. Spotkałam się tak-

że z panem Lesławem Kaliciakiem, który przekazał mi spisane przez siebie wspomnienia z Rodatycz. Ostatecznie zgodziłam się na pomoc w stworzeniu ich własnej książki.

Gdyby w jakimś innym miejscu powstał pomysł stworzenia takiej książki, to jakie miałyby pani rady dla ewentualnych autorów?

Myślę, że najpierw powinni określić sobie cel stworzenia książki. Dlaczego i dla kogo chcą to zrobić? Jeśli tylko dla siebie, aby nazwać się autorem, to wtedy nie zaangażują się emocjonalnie i powstanie sucha relacja z rozmów. Jeśli jednak włoży się w to trochę serca, może powstać kolejny, wzruszający zapis ludzkich historii. Każda z nich jest ważna, nawet jeśli zajmie tylko pół strony. W ten sposób zostaną utrwalone bezpośrednio relacje świadków historii. Nawet, jeśli nie planujemy zostać autorem, warto wysłuchać osób ze swojej rodziny i spisać ich wspomnienia. Póki nie jest za późno.

Andrzej Wojciechowski: Co Panią zainspirowało do stworzenia takiego dzieła?

Barbara Szczygielska: Moim pierwszym zamysłem było stworzenie publikacji dotyczącej mojej rodziny. Zachęcały mnie do tego moje dzieci i siostrzenice. Ale realizację odkładałam z braku czasu. Kiedy żyła jeszcze moja koleżanka Marysia Socha, dopingowała mnie. Powiedziała mi, że jej znajomy Leszek Kaliciak, posiada spis pierwszych polskich mieszkańców Zagrodna. Ponadto wiele zdjęć i artefaktów. Zadzwoniłam do pana Leszka, który bardzo chętnie zgodził się udostępnić swoje zbiory, ale sam już nie miał siły zabrać się za tę pracę, zresztą po kilku nieudanych próbach zainteresowania tematem gminy, troszkę się zniechęcił. Przypadek sprawił, że poznałam panią Wioletę Michalczyk, której wcześniej w ogóle nie znałam. Zapytała mnie, czy pamiętam wydarzenie sprzed 30 lat, kiedy do Zagrodna przyjechały dwa autokary Niemców, przedwojennych mieszkańców. Owszem pamiętałam mszę, którą oni zamówili, ale nie pamiętałam niczego więcej. Mszę ten odprawiał pracujący w Niemczech brat naszego poprzedniego proboszcza. Odpowiedziałam, że jeśli ktoś miałby to dokładnie pamiętać, to pani Czakowa, autochtonka urodzona w Wilkowie a mieszkająca w Zagrodnie. Praca nad materiałem dotyczącym zdjęć z tamtego wydarzenia sprawiła, że zaczęłyśmy wspólnie zastanawiać się nad sposobem zachowania wspomnień osób, które jak zauważyłyśmy mogą odejść w zapomnienie.

Jak długo mieszka Pani w Zagrodnie?

Nie mieszkam tu od urodzenia. Urodziłam się w Krzywej, ale moi rodzice praco-

wali w Modlikowicach i stamtąd kilka kilometrów chodziłam pieszo do szkoły w Zagrodnie. Mój Ojciec pochodził z Wielkopolski, a Mama z Zawiercia. Ich losy były całkowicie odmienne od tych jakie są udziałem bohaterów książki. Ale z kolei moi teściowie pochodzili z Kresów i ich historia była bardzo zbliżona. Wydawało mi się, że skoro od tak dawna żyję wśród tych ludzi to dobrze ich znam. Dopiero kiedy zaczęli się otwierać, opowiadać o sprawach, które leżały głęboko w ich duszach, okazało się jak bardzo się myliłam.



Jak Pani sądzi, czy gdyby Panią zapytano o swoje przeżycia, byłaby Pani skłonna tak bardzo się otworzyć?

Tak. Jestem pewna, że tak. Dlatego, że wiem jak bardzo jest ważne przekazywanie tych wspomnień. Nawet teraz namawiam nauczycielkę języka polskiego, by zainteresowała się tematem utrwalać wspomnień. Tym bardziej, że nie mamy możliwości dotrzeć do wszystkich. W Uniejowicach spotkaliśmy się z garstką zaledwie ludzi, którzy mieszkali najbliżej. W samym Zagrodnie także jest jeszcze wiele osób z którymi chciałabym porozmawiać. Nie koniecznie z pionierami, ale choćby z ich dziećmi, które znają te historie od nieżyjących już rodziców. Sądzę, że jest to realne. Ja sama pamiętam opowieści rodziców i mogłabym wiele o nich mówić. Choćby o tych czasach po wojnie, które mi się kojarzą z dzieciństwem. Pamiętam na przykład tabory cygańskie, kolorowe stroje kobiet, śpiewających mężczyzn, i wielkie ogniska palące się długo w nocy. Zazdrościłam im przede wszystkim tych kolorowych wozów. Moim największym dziecięcym marzeniem było zamieszkać w cygańskim wozie. Kiedy dorosłam moim konikiem

stał się „Pan Tadeusz” Adama Mickiewicza. Być może dlatego, że Bernard Mannecki, który tu w Zagrodnie odnalazł rękopis, był moim wujkiem. Miałam zaszczyt opowiadać o tej historii w filmie dokumentalnym, który powstał z okazji jubileuszu „Ossolineum”. Utwalenie tej historii było jednym z trzech moich największych marzeń. Drugą była renowacja organów w naszym kościele. To również się udało i nawet mamy za sobą już dwa recitale organowe. Trzecim było

Jestem dziś bardzo wzruszona widząc gotową książkę. Tym bardziej, że wiem jak bardzo głębokie przeżycia towarzyszyły jej powstaniu. Nasi bohaterowie często mieli łzy w oczach wracając do czasów swojej młodości.

Andrzej Wojciechowski

Serdecznie dziękuję tym, którzy pomogli przy organizacji spotkania promocyjnego książki "Zachowane wspomnienia": pani Basi za pomysł, ks. Janowi za piękne kazanie na mszy w intencji świad-



wydanie tej książki. Zachęcam młodzież, aby zaangażowała się w tę pracę. Potencjał na powstanie kolejnych jest ogromny. Tym bardziej, że w każdej wsi są ludzie pochodzący z innych stron. Tu w Zagrodnie skupili się ludzie mieszkający przed wojną w Baryszu. W sąsiednich wsiach lokowali się przybysze z innych miejscowości. Wynikało to z tego, że przesiedleńcy szukali miejsca do zamieszkania kierując się tym, aby zamieszkać obok kogoś z rodziny.

ków historii i ich rodzin oraz udostępnienie sali parafialnej, Stowarzyszeniu Pozytywnie Nakręceny za pyszne ciasta, panom Rajczakowskim za muzykowanie i dofinansowanie spotkania, paniom z Biblioteki Gminnej w Zagrodnie za przygotowanie zaproszeń, pani Jandwidze za realizację filmu promocyjnego, a wszystkim obecnym za stworzenie wspaniałej atmosfery.

Wioleta Michalczyk



Zbigniew Kopacz „U nas w domu...”

Moi dziadkowie ze strony Mamy: Maria i Józef Twardochlebowie przyjechali ze Wschodu z dużej miejscowości Głębocezek, z województwa tarnopolskiego. Moja babcia była Ukrainką. Mieli tam nieduże gospodarstwo: kilka mórg, zabudowania gospodarcze, dom i sad. Mama miała jednego brata. Musieli stamtąd uciekać, ponieważ w tej wsi działała Samoobrona Polska, walcząca z bandami ukraińskimi. Z ich opowiadań wiem, że w tamtym czasie spali w tzw. „schronie” - ziemiance wykopanej pod gnojownikami, bo bali się spać w domu. W tej wsi zostało zamordowanych ponad 70 Polaków. Za głowę mojego dziadka została wyznaczona nagroda przez Ukraińców, a babcia za małżeństwo z Polakiem też dostała od nich wyrok śmierci. Dziadek Józef został w 1943 r. ranny od kuli niemieckiej w lewą stronę piersi, a kula wyszła pod prawym obojczykiem. Udało się uratować mu rękę. Wyjechali na Ziemię Odzyskaną w 1945 roku drugim transportem z Tarnopola, gdzie schronili się przed bandami. Po drodze zatrzymali się na półtora roku w Babicach w Lubelskiem. Zdecydowali się w 1947 r. na wyjazd na Zachód po tym, jak brat dziadka Jan Twardochleb, wracający z wojny żołnierz II Armii WP, osiedlił się w Pielgrzymce. Dziadek zamieszkał koło poczty, miał tam zakład stolarski. Mam jeszcze jego przywieziony zza Buga młotek.

Dziadkowie ze strony Ojca: Anna, z domu Piędel i Wojciech Kopaczowie pochodzili z Rzeszowskiego ze wsi Jeżowe, powiat Nisko. Przyjechali w sierpniu 1945 r. do Pielgrzymki. Siostra Ojca - Rozalia zajęła ten stary dom obok nas, potem on do niej dojechał. Było ich siedmioro rodzeństwa, ale część z nich została w górach. Mieszkali jeszcze ze dwa lata z Niemcami, zaprzyjaźnili się z nimi. Ojciec odwoził ich nawet koniem na stację do Bolesławca. Oskar Grosser

odwiedzał nas potem z synami Manfredem i Wernerem.

Mój Ojciec Antoni pracował przed wojną w Spółdzielni Koszykarskiej w Nisku. Stamtąd jako młody 17-letni chłopak, został zabrany z łapanki na roboty do Niemiec w okolicy Lipska w listopadzie 1945 roku. Sam gospodarz niemiecki nie traktował go źle, tylko trzeba było się chować przed jego synami. Jeden z nich był członkiem SA, drugi SS. Tato pracował na roli u Niemca całą wojnę. Przeżył drugi nalot dywanowy Drezna, gdy zabrano go z zaprzęgiem do usuwania zniszczeń i wywożenia na cmentarz zwłok ludzi zabitych w bombardowaniu. Widział wtedy zrujnowany dworzec w Dreźnie i zawsze marzył, aby zobaczyć jego budynek odbudowany. Gdy zaczęły spadać bomby, ukrył się w



Jan Twardochleb w wojsku - na dole po prawej



Jan Twardochleb z kolegami z wojska



Pracownicy kamieniołomu w Pielgrzymce

żywoptocie z głogu. Po zakończeniu wojny gospodarz wyposażył swoich robotników w żywność i pieniądze na drogę. Zachował się całkiem przyzwoicie, jego synowie nie wrócili po wojnie. Ojciec pojechał w Rzeszowskie, ale rodzina stamtąd się rozjechała, więc dwa miesiące odwiedzał kolegów w różnych miejscowościach.

Gdy przyjechał do Pielgrzymki, współpracował z żołnierzami, stacjonującymi w domu naprzeciwko. Był też jednym z założycieli Ochotniczej Straży Pożarnej, która działa do dziś. Poznał moją Mamę Bernadetę, gdy miała 17 lat, był 9 lat starszy od niej. Wzięli ślub w 1950 r. (Tytułowe zdjęcie). Jestem jedynakiem. Tato pracował do 1958 r. w kamieniołomie w Pielgrzymce. Przestał tam pracować, gdy rzucił legitymacją partyjną, za co mu uprzykrzano życie. Zajął się pracą w gospodarstwie. Nawet siedział cztery miesiące w areszcie w Złotorzy za niewykonanie planu dostaw w zbożu. Mama musiała sama zrobić żniwa. Kilka lat mieszkali jeszcze z ciotką Rozalią. Mieli parę maszyn rolniczych i kobyłę Baškę, którą kupili od kogoś, kto miał na nią przydział z UNRY. Mama pracowała w domu i należała do Koła Gospodyń Wiejskich. Pracowałem w gospodarstwie mając 14-15 lat, nigdy nie mogłem Tacie odmówić pomocy.

Moją żonę Bożenę, z domu Łukoszko poznałem przez przypadek na zabawie w Proboszczowie. Odprowadziłem ją do domu, a miałem jechać gdzie indziej. Jej rodzice pochodzili także zza Buga. Babcia ze strony jej Mamy Maria Dobrochłop, z domu Dołchań była Ukrainką, mimo to Ukraińcy chcieli ją zabić, schowała się przed nimi w rowie, rzucając dla niepoznaki chustkę. Dziadek Józef po przyjeździe do Proboszczowa zajął małe mieszkanie we wspólnym domu z innymi rodzinami, które z nimi przyjechały jednym pociągiem. Mieli sześcioro dzieci. Dziadkowie Łukoszko ze strony jej Taty przyjechali spod Wilna z Kuźmiskich i osiedlili się, także z sześciorgiem dzieci w Twardocicach. Jej Ojciec Bronisław pracował w kamieniołomach do lat 80-ych, potem krótko w PGR, a Mama Teresa zajmowała się domem, Bożena cały czas pomagała jej. Ma dwoje rodzeństwa.

Na rodzinnych uroczystościach, gdy moi rodzice snuli wspomnienia, mówiąc „u nas w domu”, mieli na myśli życie przed wojną w Głębocku. Babcia był tam dwa razy, wracała do swojego domu, który pozostał na Wschodzie. Rodzice nauczyli nas obowiązku, postuśszersztwa, dyscypliny, pracowitości i odpowiedzialności.

Bożena i Zbigniew Kopaczowie

Wspomnienia te ukażą się w tym roku w przygotowanej przez uczniów i nauczycieli Szkoły Podstawowej nr 3 w Złotorzy publikacji, której tematyka wplata się w hasło tegorocznego Europejskich Dni Dziedzictwa "Pamięć i dziedzictwo".

Wioleta Michalczyk



Antoni Kopacz, Aleksander Niemiec i Strzelczyk



Antoni Kopacz



Maria i Józef Twardochlebowie

Daleko od szkoły



ma miesiącami wakacji”, „bezpłatnymi wycieczkami”.

Dziś brakuje fizyków, chemików, matematyków, a co zupełnie nowe – zaczyna nawet brakować polonistów. Nie będę się tu rozwodzić nad przyczyną tego zjawiska. Po prostu oddam głos tym, którzy wybrali życie z daleka od szkoły.

Marta Sułek

Na zmianę zawodu zdecydowałam się po 15 latach pracy, ale ta decyzja dojrzała we mnie około dwa lata. Co mnie do tego skłoniło? Przede wszystkim inne możliwości zarobkowe i praca na własnych zasadach. Bardzo chciałam rozwijać się w branży beauty jako szkoleniowiec i ekspert - kolorysta. Praca od 8-15, od poniedziałku do piątku uniemożliwiała mi ten rozwój. Czy miałam obawy? Jasne! Tylko głupcy się nie boją. Natomiast ja, nawet gdy się boję, to nie pozwalam, aby mnie ten strach zahamował. To tylko chwilowy stan umysłu, który mija, gdy zaczynasz działać. Nie mam problemu z wychodzeniem ze strefy komfortu. Wiem,

że tylko poprzez ciągłe stawianie sobie nowych wyzwań możemy wejść na wyższy poziom umiejętności. Niezależnie od tego czego owe umiejętności dotyczą. Zawsze wychodziłam z założenia, że jeśli czegoś nie potrafię, to mogę się przecież tego nauczyć. Mogę to „ogarnąć”. 😊 Jestem edukowana. Poza tym staram się za długo nie analizować, bo właśnie wtedy pojawiają się wątpliwości. Wolę działać. I naukę w trakcie działania.

Wiedziałam, co chcę robić i jak chcę, żeby to wyglądało. Miałam na to wizję i plan. Przygotowywałam się do tego dwa lata wcześniej. To nie była spontaniczna decyzja, ale była dla mnie niezwykle trudna, ponieważ uwielbiałam pracować z uczniami i wiele poświęciłam, aby ukończyć studia.

Dalej wykorzystuję zdobyte w szkole doświadczenia, nadal szkolę i uczę, tylko tematyka jest inna. 😊 Dzięki pracy w szkole teraz mam lepsze wyczucie osobowości klienta i szybciej jestem w stanie złapać z nim kontakt. Jestem bardziej komunikatywna. Po 15 latach prowadzenia zajęć przed wymagającą publicznością, jaką są szybko nudzące się nastolatki, nie mam trudności z jasnym i „topatologicznym” wytłumaczeniem kursantom zawiłości dotyczących np.

Kiedy zaczynałam pracę w szkole, moja starsza koleżanka powiedziała: „Iwona, jeśli przez pięć lat nie zmienisz zawodu, zostaniesz tu na zawsze.” Trudno ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że miała rację, bo moja tak zwana kariera zawodowa jeszcze nie dobiegła końca, ale w szkole tkwię już niemal 30 lat. I, szczególnie ostatnio, z powodów osobistych, zawodowych i politycznych, z powodu zawirowań okołoedukacyjnych, ze względu na to, z jaką pogardą odnoszą się do nauczycieli ich ministrowie mam ochotę rzucić wszystko w diabły i zając się hodowlą kur niosek. Jednak cały problem tkwi w dwóch szczegółach. Po pierwsze lubię uczyć, po drugie jestem za stara na rewolucję w życiu. Dlatego podziwiam odwagę moich koleżanek i kolegów nauczycieli, którzy podjęli decyzję o przeorganizowaniu swojego życia i wzbogacili CV o nowy zawód.

Zjawisko odchodzenia nauczycieli z zawodu staje się już coraz bardziej dotkliwe dla dyrektorów placówek edukacyjnych. Jeszcze niespełna 3 lata temu nauczyciele słyszeli: „Żle ci w szkole, to zmień zawód i idź do pracy do Biedronki”. Ci, co tak mówili, chyba nie wierzyli, że rzeczywiście nauczyciel będzie wolał pracę fizyczną od tej „luksusowej”, „osiemnastogodzinnej”, z „trze-

różnej budowy oka, harmonii monochromatycznej vs. przeciwstawnej czy techniki pracy światła i cienia. Nie krępuje mnie występowanie na Live czy w mediach społecznościowych. Po tylu latach szkolnego ekshibicjonizmu i tylu najróżniejszych doświadczeniach, niewiele rzeczy jest mnie w stanie zbić z pantafelku.

Wielu pyta, czy mi się to opłacało. Tak. Pod wieloma względami. Ale dwa najważniejsze to rozwój osobisty i kilkukrotny wzrost zarobków. Etaty dawał mi pozorne poczucie bezpieczeństwa. Praca na swój rachunek jest na pewno bardziej wymagająca, ale i bardziej satysfakcjonująca jak dla mnie. To ja wyznaczam kierunek, ale tym samym przejmuję odpowiedzialność za własne wybory. Jednych to przeraża i będzie ponad ich siły. Wolą być zarządzani i mieć mniej na głowie. Szanuję to, ale mi to nie wystarczało. Ja kocham poczucie WOLNOŚCI i sprawczości. W szkole tego nie czułam. Teraz mogę być kreatywna. Mam elastyczne godziny pracy. Większe zarobki. Brak szefa nad głową z narzuconym planem, nakazami i zakazami. Możliwość wyjazdów na urlopy kiedy mam na to ochotę, a nie kiedy muszę. Mniejsza odpowiedzialność. Komfortowe warunki pracy. Dużo tego. 😊

Kiedy przyszedł 1 września, a ja już nie poszłam do szkoły - nie ukrywam - brakowało mi tego. Płakałam. Kilka miesięcy trwało przestawienie się na inny system pracy. Najbardziej brakowało mi kontaktu z młodzieżą. Tej ich niespożytej energii, niepokornego patrzenia w przyszłość, pogaduch pozalekcyjnych na życiowe tematy. Jak już wspomniałam, naprawdę uwielbiałam uczyć a studia nauczycielskie wybrałam nie z przypadku, czułam powołanie. Jednak po tych 15 latach mocno uświadomiłam sobie, że nie mam już siły być „matką Teresą” ani „siłaczką”. Na ten moment nie wyobrażam sobie powrotu do pracy w szkole. Nie w tym kształcie, nie w sytuacji, w której deprecjonuje się zawód nauczyciela, nie docenia jego godności i roli w kształtowaniu społeczeństwa. Niestety brak docenienia odczuwa się również w wypłatach. I to bardzo.

Edyta Tusińska

Z pracy w szkole zrezygnowałam po 23 latach. Kilka lat wcześniej zawiązałam do Vitbisu, chcąc w innym zakresie wykorzystać swoją znajomość języka. Miała to być praca dodatkowa, tak tylko na kilka godzin w

tygodniu. Szybko jednak okazało się, że to zajęcie mnie fascynuje i pochłania. Nie tylko przygotowywałam dokumenty, ale otrzy-



małam do realizacji dwa „potężne” kontrakty z sieciami niemieckimi. Było to nie lada wyzwanie, zwłaszcza dla mnie, humanistki, całkowicie z innej branży, ale dałam radę. Nie przestałam jednak kochać swojej pracy w szkole, mimo że bywało ciężko. Gdzieś powoli wyczerpywały się moje pokłady energii, pomysłów i cierpliwości. Może to dziwnie zabrzmiało, ale nie było też już takich uczniów, jak przed laty, którzy dążyli do wiedzy, byli chętni do nauki i zaangażowani we wszystko, co działo się w szkole.

W pewnym momencie w Vitbisie zwoleńnię stanowisko dyrektora do spraw organizacyjno-prawnych. Brałam pod uwagę, że może to być dla mnie szansa. Jednak szybko porzuciłam tę myśl. Dopiero w trakcie rozmowy z Prezesem mimo woli wspomniałam, że ja chyba mogłabym i chciałabym ... I stało się. Decyzja była błyskawiczna, choć dla innych – rodziny i przyjaciół – niezrozumiała i może trochę niepopularna. Pamiętam, powiedziałam wtedy do mojego męża: ja muszę spróbować! I udało się, od 2019 r. na stałe zakotwiczyłam w firmie.

Praca nauczyciela jest bardzo trudna i wymagająca, niestety też nie zawsze doceniana przez otoczenie. O jakim komforcie mówimy, ciągłym stresie, obciążeniu fizycznym i psychicznym? Dziś już nawet nie ma stałości i gwarancji zatrudnienia. Dlatego tego typu obaw nie miałam, zwłaszcza nauczona pracy, co wielokrotnie podkreślałam w swoich wypowiedziach.

Tak, jak wspomniałam, pracując na stanowisku dyrektora ds. organizacyjno-prawnych. Jednak w dużym stopniu moja praca polega

na prowadzeniu działu personalnego. Nadal pracuję z ludźmi, do czego mogę wykorzystać swoje pedagogiczne doświadczenia. W szkole nauczyłam się obowiązkowości, terminowości i cierpliwości, dużo czasu poświęcałam na doskonalenie. Dzięki temu było mi znacznie łatwiej wykonywać swoje obecne obowiązki.

Byłam i jestem osobą pełną sprzeczności: z jednej strony jestem bardzo zadaniowa i działam według planu, z drugiej - w swojej pracy potrzebuję miejsca na mały chaos i kreatywność. To pozwalało mi spełniać się w zawodzie nauczyciela, tak też jest obecnie.

Chyba nie brałam tego pod uwagę, że sobie nie poradzę. Na początku było ciężko, wszystko było dla mnie nowe. Mimo że z wykształcenia jestem nie tylko germanistką, ukończyłam również prawo i administrację na kierunku zarządzanie, to jednak musiałam bardzo dużo się uczyć, zwłaszcza praktyki. Zresztą uczyć się nadal i nigdy nie przestanę. To takie moje hobby 😊. Poza tym tę potrzebę nauki wymuszają też choćby ciągłe zmiany przepisów.

Weszłam w nowe środowisko, ludzi otwartych, pomocnych i wesołych. Dużym wsparciem otoczyli mnie również obecni szefowie. Wszystko to sprawiło, że dałam radę. Uważam, że zmiana, jaka dokonała się w moim życiu była bardzo korzystna. Nie powiem, że pod każdym względem, ale prawie. Mam dużo zajęć, ale ja to lubię. To kwestia charakteru i przyzwyczajenia.

Czy brakuje mi szkoły? Szczerze - to rzadko, może w wakacje. Cały czas

spotykam się z moimi wspianymi przyjaciółmi ze szkoły, ciągle z zainteresowaniem słucham ich szkolnych historii. Wykorzystuję swoją wiedzę, doświadczenie i znajomość języka. Nie ukrywam, że mam dużo pracy. A to wszystko sprawia, że na tę tęsknotę nie mam czasu. Ze szkołą pożegnałam się raczej definitywnie. Ale nigdy nie zamykam za sobą drzwi i niczego nie wykluczam. Zresztą zawsze marzyła mi się praca na uczelni, więc może kiedyś tak dodatkowo... 😊

Artur Goliński

W latach 2003-2013 byłem nauczycielem plastyki. Początkowo uczyłem w szkołach policealnych oraz na wyższej uczelni i byłem zadowolony z pracy. W 2012 r. rozpocząłem pracę w szkole podstawowej oraz gimnazjum i na tym etapie natknąłem się na tak poważne i nierozwiązywalne w moim odczuciu problemy, że zdecydowałem się odejść od zawodu nauczyciela. Bezpośrednim powodem mojego odejścia były tzw. problemy wychowawcze. Pojawiały się one niemal w każdej klasie i choć przeważnie tylko z pojedynczymi uczniami, to jednak ich rozwiązywanie pochłaniało większość mojej energii i czasu przeznaczanego na realizację podstawy programowej. W trakcie wielu bezskutecznych prób ich rozwiązania doszedłem do wniosku, że są one nierozwiązywalne i mają swoje źródło



dło w strukturze systemu edukacji. Jednym z powodów jest przymus szkolny. Zdałem sobie sprawę, że niektórzy uczniowie po prostu nie chcą (z wielu różnych powodów) uczestniczyć w zajęciach plastyki. System szkolny zmusza uczniów do aktywności, która nie odpowiada ich aktualnym potrzebom i zainteresowaniom. Jako że większość uczniów w tym wieku nie potrafi jeszcze wprost komunikować swoich uczuć i stojących za nimi potrzeb, komunikuje je zazwyczaj nie wprost generując tzw. problemy wychowawcze. Ich rozwiązywanie pochłania ogromną ilość czasu i energii nauczyciela. W moim odczuciu są one nierozwiązywalne ponieważ ani uczeń, ani nauczyciel nie ma wyboru i nie może zwolnić ucznia z tego przykrego dla niego obowiązku.

Drugim ważnym czynnikiem jest specyfika przedmiotu - plastyka. Uświadomiłem sobie również ogromny rozdźwięk - wręcz przepaść - pomiędzy oczekiwaniami społecznymi wobec przedmiotu - plastyka. Zgodnie z podstawą programową już od najmłodszych lat uczeń w trakcie zajęć plastycznych powinien zdobywać wiedzę z zakresu teorii i historii sztuki oraz pewne konkretne umiejętności, które podlegają ocenie. Natomiast w społecznym odczuciu plastyka to tzw. luźny przedmiot, który powinien mieć formę zabawy. W trakcie zajęć zazwyczaj czułem się pomiędzy przysłowiowym młotem i kowadłem sprzecznych oczekiwań, które w moim odczuciu są nie do pogodzenia.

Po roku pracy w szkole podstawowej i gimnazjum porzuciłem zawód nauczyciela i podjąłem pracę w domu kultury jako instruktor plastyki. W tym momencie wszystkie moje wcześniejsze problemy zniknęły, co utwierdziło mnie w trafności mojej diagnozy. Uczestnik zajęć plastycznych w domu kultury jest tam zazwyczaj z własnego wyboru. Efekty jego pracy nie podlegają ocenie. Aktywność uczestnika zajęć ma zazwyczaj swobodny charakter, dostosowany do jego aktualnych potrzeb i zainteresowań.

Jestem zadowolony z tej zmiany choć mi się to nie opłacało. Szkoła zapewniała względną stabilność zatrudnienia, odpowiednią ilość godzin pracy, możliwość awansu zawodowego, itp. W domu kultury mam zaledwie kilka go-

dzin zajęć w tygodniu więc traktuję to jako pracę dodatkową, wykonywaną dla przyjemności. Źródła utrzymania i stabilizacji musiałem poszukać w innym zawodzie - pracuję fizycznie, jako pracownik magazynowy w międzynarodowej korporacji. Zdarza się, że czasem jeszcze myślę o powrocie do zawodu nauczyciela, ale to musiałaby być inna szkoła, a wiem że nie będzie.

Martyna Smolarczyk

W Szkole Podstawowej nr 3 pracowałam 7 lat. Ale od około 4-5 nosiłam się z zamiarem porzucenia zawodu. Decyzja nie była łatwa, szczególnie że mieszkamy w małym mieście i nie jest łatwo



znaleźć satysfakcjonującą pracę. Tym bardziej jest trudno jak ma się rodzinę i rachunki na głowie. Mimo to odeszłam ze szkoły, a głównymi przyczynami były: niekończące się pretensje ze strony rodziców, napór z ich strony w praktycznie każdym aspekcie (ocen, prowadzenia zajęć, wycieczek itd.), niesprawiedliwe traktowanie ze strony dyrekcji, praca po pracy i w weekendy kosztem rodziny (głównie męża i dzieci), kłopot z dniem wolnym poza wakacjami i feriami no i oczywiście finanse... Szkołę zamie-

niałam na biuro, jestem pracownikiem biurowym, taka typowa praca (odbieranie telefonów, pisanie maili, kontakt z klientem). Przyznam, że praca w szkole dała mi też przydatne doświadczenia. Wcześniej byłam raczej osobą nieśmiałą, a praca w szkole wymaga występów bądź co bądź publicznych. Czy to na lekcji czy na zebraniu z rodzicami. Dzięki temu nabrałam odwagi do ludzi, do rozmów z nimi, jest to pomocne przy rozmowach z klientami czy kontrahentami. Praca w szkole, szczególnie z dziećmi z klas I-III (bo z takimi pracowałam) wymaga też wykonywania kilku rzeczy naraz, czyli krótko mówiąc dobrej organizacji pracy co też jest bardzo przydatne.

Myślę, że ta życiowa rewolucja opłaciła mi się, bo zyskałam spokój i przespane noce. A żałuję tylko jednego, że czekałam z decyzją te 5 lat, że po prostu nie miałam odwagi opuścić szkoły wcześniej. Jednak życie nauczyło mnie, że nigdy nie wolno mówić nigdy. Tu i teraz nie chcę i nie zamierzam wracać do zawodu. Jednak życie bywa przewrotne i może się okazać, że kiedyś w przyszłości nie będę mieć innego wyjścia i do szkoły wrócę.

*

Czy rzeczywiście dziś nie warto być nauczycielem? Patrząc przez pryzmat wynagrodzeń – zdecydowanie nie. Mając na uwadze prestiż zawodu – tym bardziej nie. Biorąc pod uwagę możliwości rozwoju i awansu – absolut-

nie nie. Zważywszy na postępującą ideologizację edukacji – również nie!

Jest ryzyko, że niebawem w szkole zostaną tylko hobbyści i społecznicy. A może się mylę? Czekam na Państwa opinie.

Iwona Pawłowska

P.S. Artykuł pisałam trzy dni po uchwaleniu przez Sejm RP ustawy pod nazwą Lex Czarnek.

Stres - nieprzyjaciel ucznia

Szkoła wywołuje bardzo duże napięcia emocjonalne, które towarzyszy rzeszy nastolatków i dzieci. Takie osoby przeżywają silne i często przykre emocje. Czynniki, które wpływają na to uczucie to m.in. wywoływanie do tablicy, sprawdzanie wiedzy, egzaminy, duża ilość materiału, konieczność udzielanie odpowiedzi czyli tak zwane odpytywanie czy lęk przed groźnym nauczycielem lub niechęć ze strony rówieśników. Myślę, że stres to temat, o którym warto mówić.

Szkoła jest bez wątpliwości miejscem, gdzie my uczniowie doświadczamy pewnego dyskomfortu. Jesteśmy poddawani ciągłej ocenie, funkcjonujemy wedle reguł i wymagań. Stres wywołuje nie sama szkoła, lecz konkretne sytuacje, które tam występują. Jako uczniowie jesteśmy narażeni na silne uczucia zagrożenia, które wynikają czasem z niemożliwością sprostania stawianym nam wymaganiom, a człowiek, który jest pod wpływem silnego i długotrwałego stresu przestaje radzić sobie z podstawowymi zadaniami i często zdarza się, że dostaje gorszą ocenę ze względu na paraliżujące emocje.

Obserwuję swoich kolegów i koleżanki podczas przerw i moją uwagę skupia ich zachowanie. Co jest w nim nie tak? Zauważyłam częste tupanie nogą, obgryzanie paznokci, kręcenie na palcu kosmyków włosów, płacz, pocenie. Po sobie mogę powiedzieć, że jeśli chodzi o odczucia fizyczne to jest to przyspieszona praca serca, zawroty głowy, ból brzucha.

Znam, i pewnie wy też znacie ze swoich szkolnych lat, osoby, które boją się uczestniczyć w konkretnych zajęciach przez zbyt surowych, wymagających nauczycieli i tym samym decydują się na wagary. Wolą nieobecność od ewentualnej przykrości lub oceny niedostatecznej. Słyszałam też, że są osoby, których takie sytuacje doprowadziły do omdleń, zmiany szkoły, depresji, samookaleceń...

Nie tylko szkoła nas stresuje. Źródłem takich emocji mogą być również złe relacje z rodzicami, nadmiar obowiązków w domu. W efekcie młody człowiek chodzi niechętnie do szkoły, jest nerwowy, zamknięty w sobie i unika jakiegokolwiek kontaktu z drugą osobą.

Stres jest nieodczyny, to codzienny towarzysz naszego życia. Jest w gruncie rzeczy przydatny, bo czasem motywuje do działania, daje nam „kopa”, ale dla niektórych bywa czynnikiem paraliżującym.

cym i warto nad nim popracować dla samego siebie, by żyło się lepiej, spokojniej i pozytywniej. Jest tyle różnych sposobów na to, aby to spełnić, wystarczą chęci oraz cierpliwość.

Pamiętaj o tym, że masz wpływ na poziom odczuwanego stresu. Zaakceptuj sytuację i koncentruj się na problemie. Ale jeśli nie radzisz sobie z uczuciami, szukaj pomocy fachowców. Możesz zawsze skorzystać z telefonu zaufania. Od niedawna funkcjonuje on w naszym mieście. Wystarczy wybrać numer 530 599 415 w każde weekendowe popołudnie.

Nina Stolarczyk

Kronika

23.12 Rada Miejska w Złotorzy przyjęła budżet na 2022 r.

24.12 W Złotorzy odbyła się 26. Wigilia w Rynku.

27.12 Spotkanie z aktorem Teatru im. Cypriana Kamila Norwida w Jeleniej Górze Jackiem Grondowym oraz projekcja „Opowieści wigilijnej”.

29.12 Turniej Siadkarska integracja w Hali Tęcza.

3.01 Dyrektorem Żłobka Miejskiego została Małgorzata Szewczyk.

3.01 Złotoryjscy policjanci zorganizowali dla seniorów spotkanie profilaktyczne w serwisie youtube, w ramach wojewódzkiej akcji „Senior online”.

7.01 Na emeryturę odszedł Komendant Powiatowej Policji w Złotorzy insp. Bogumił Kotowski

12.01 Ze złotoryjskiego rynku zniknął ostatecznie Zielony Grzybek, który zostanie zastąpiony przez nową restaurację w starym ratuszu.

13.01 Złotoryjskie podstawówki otrzymały ponad 300 tys. zł na unowocześnienie pracowni i uatrakcyjnienie zajęć lekcyjnych. Pieniądze pochodzą z programu „Laboratoria przyszłości” finansowanego z Funduszu Przeciwdziałania COVID-19.

14.01 Spotkanie pracowników w Zielonym Gaju z okazji 30-lecia Spółki Vitbis.

15.01 Promocja książki „Zachowane wspomnienia”.

16.01 Burmistrz wyznaczył nagrodę pieniężną za pomoc w ujęciu złodzieja, który ukraść samochód służący transportowi osoby niepełnosprawnej. Dzień później Policja odnalazła samochód i ujęła sprawcę.

19.01 Dzieci z Przedszkola Miejskiego nr 2 w Złotorzy obchodziły „Światowy Dzień Popcornu”.

20.01 W Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji odbyły się uroczyste obchody Dnia Babci i Dnia Dziadka.

20.01 Wręczenie nagród w konkursie plastycznym „Świąteczna Eko-ozdoba” zorganizowanym przez Wydział Gospodarki Odpadami Urzędu Miejskiego w Złotorzy.

21.01 Studniówka Liceum Ogólnokształcącego w Złotorzy w Zielonym Gaju.

22.01 Zjazd Oddziału Powiatowego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych RP w sali konferencyjnej Restauracji Przy Miłej.

Jarosław Jańta

Dom mojego dzieciństwa



Niniejszym tekstem chcemy zainicjować cykl artykułów pod wspólnym tytułem „Domy naszego dzieciństwa”. Chcielibyśmy, aby nasi czytelnicy dzielili się swoimi historiami, które są próbą ocalenia tego, co przemija, tego co się zmienia lub tego, co już nie istnieje. Zachęcamy do spisywania opowieści, które kryje nasza pamięć.

Dziś w podróż sentymentalną zaprasza Iwona Pawłowska.

Kiedy myślę o moim dzieciństwie, odliczam czas historii trzech domów.

Dom pierwszy

Prawie nic nie pamiętam z czasów, kiedy mieszkałam na Różanej, małej osadzie między Nowym Kościołem a Sędziszową. To tam, u dziadków ze strony taty, spędziłam pierwsze dwa lata swojego życia, w domu pod lasem za rzeką, nad którą wisiła kładka. To z tą kładką wiążą się moje pierwsze wspomnienia, bo kiedy mama wiozła mnie przez nią w spacerówce, do rzeki spadł mi bucik. Mam wrażenie, że pamiętam to zdarzenie, ale być może jest to pamięć fałszywa, utkana z licznych opowieści mojej mamy. Niezależnie od tego, czy jest to moje wspomnienie, czy zapożyczone, nie lubię kładek i mostów – jedna z dziecięcych traum. Dziś ten mój pierwszy dom

ma kolejnych właścicieli i wyraźnie popada w ruinę.

Dom drugi

Do drugiego domu wprowadziliśmy się, gdy miałam 2 lata. Nie była to jakaś daleka przeprowadzka, bo raptem o kilometr, może dwa – bliżej Świerzawy, do tych drugich dziadków. Ich dom też stał pod lasem i w cieniu Góry. Dom był duży (tak mi się wtedy wydawało), poniemiecki, jak prawie wszystko we wsi, typowy szachulec z datą 1856 nad portalem. Miał 4 pokoje i kuchnię z piecem, na blasze którego piekłam ziemniaczane talarki lub rumieniłam chlebowe kromki.

Pokój na piętrze był do naszej dyspozycji. Na dole mieszkali dziadkowie, moje ciotki i wujek. Było gwarno i tłoczno, a życie koncentrowało się w kuchni przy stole, w którym była szuflada dziwnie budząca moją ciekawość. W kuchni stało też radio z adapterem, na którym puszczałam pocztówki muzyczne i darłam się na całe gardło „Małgośka mówią mi...” Najwięcej emocji budził jednak strych, gdzie w ciemnościach i kurzu buszowałam, szukając maminych butów, sukni ślubnej, welonu... Nie mniej radości sprawiała mi zakazana eskapada do pakamery, którą, nie wiem dlaczego,

domownicy nazywali „pustą budą”, bo było tam pełno: od zapomnianych słoików, rondli, starego sprzętu, a przede wszystkim - dziadkowych skarbów... Babcia nie była zadowolona, kiedy eksplorowałam w korytarzu piec chlebowy, gdzie w nieużywanym palenisku była składnica gazet i nienoszonych już butów. W korytarzu stała wirówka, do której wlewało się mleko, by oddzielić z niego śmietanę, a resztę przerobić na twaróg.

Dom miał też piwnicę, ale tam nigdy nie schodziłam, bo najczęściej była zalana wodą, która dość swobodnie przepływała sobie pod budynkiem wsiąkając w piaskowcowe ściany. Z czasem te ściany puchły od wilgoci, która liszajem powoli porastała dom.

Do domu przylegała stajnia, gdzie mieszkały krowy, koń Baśka i kury, którym babcia w sobotę na podwórkowym pniaku ucinała głowy. Była też stodoła, gdzie latem zwoziliśmy z dziadkami siano, stała tam młockarnia i młynek do oddzielania ziarna od plew. Za stodołą mieścił się chlewik z kilkoma świniąmi, dla których babcia gotowa w parniku ziemniaki, szatkowała pokrzywy.



Na podwórzu rośla kilkusetletnia lipa. Swoimi rozłożystymi konarami dotykała okna pokoju na piętrze. Gdy wiał wiatr, trzepotała histerycznie gałęziami po ścianie domu. W upalne dni huczała rojami pszczoł. Ale zazwyczaj dawała schronienie od słońca i to właśnie wokół jej olbrzymiego pnia bawiłam się „w dom”, grodziłam wyimaginowane ściany, urządziłam pokoje dla lalek i kuchnię, w której „gotowałam” kamienieziemniaki bądź „smażyłam” liście-kotlety na obiad dla swoich plastikowych dzieci z oczami jak paciorki ☺.

Przez całe lata marzył mi się domek wewnątrz drzewa, wierzyłam, że kiedyś dziadek wydrąży mi w pniu lipy takie schronienie. Roiło mi się zamknąć w tym drzewie tak, jak w szafie. Takie marzenia pewnie mają introwertyczne dzieci. Z marzeń się wyrasta. Dziś już nie ma dziadka, który mógłby mi zbudować w pniu lipy upragniony schron, nie ma też lipy, ani jej „męża” – jak mówiłam o stojącym po drugiej stronie domu wielkim klonie, którego powaliły piły znacznie wcześniej niż jego małżonkę – lipę.

Wychowałam się w cieniu Góry. Słońce chowało się za nią pod koniec jesieni, a wracało w połowie lutego. Kilka miesięcy w roku podwórko skrywały mrok i chłód. Może dlatego tak lubiłam wiosnę, bo słońce już wtedy nie przejmowało się garbem Góry i można było się wygrzewać w jego promieniach... Góra nazywała się Willenberg. Tak o niej mówiła babcia i jej sąsiedzi z Sędziszowej. Teraz, kiedy nie ma już babci ani nikogo z jej sąsiadów, nikt nie pamięta Willenbergu. Góra jest po prostu Wielistawką.

Jako dziecko traktowałam tę Górę jako część swojej przestrzeni. Jeszcze nie umiałam dobrze chodzić, kiedy babcia targała mnie po pagórkach Willenbergu, bo na łąkach za Górą pasły się jej krowy, a krowy trzeba było wydoić, napoić, przewiązać. I niosła mnie po leśnych ścieżkach Góry, bo samej w domu zostawić nie mogła.

Kilka lat później, już na własnych nogach, dreptałam z nią tymi samymi ścieżkami, kiedy szłyśmy na leśne polany, bo tam rosły najśodsze maliny. Babcia niosła wiadro, a ja z przerażeniem na nie patrzyłam i wie-

działam, że dopóki się nie wypełni owocami, nie wrócimy do domu. Komary cięły mnie bezlitośnie, ale na nic zdawały się skargi i marudzenie, bo babcia to była uparta kobieta i jak zaplanowała zrobić sok z malin, to tak miało być. Po powrocie do domu zwykle ruszało ją sumienie i robiła mi okłady z octu na wielkie i swędzące bąble po komarach i karmiła wapnem w tabletkach, a ja w przerwie między drapaniem rąk i nóg pomagałam jej wyciskać sok z malin przez trową pieluchę.

Willenberg to też miejsce tajemnic. We wsi szeptano, że tam Niemcy schowali złoto. Rozpalało to nie tylko dziecięcą wyobraźnię. Dorosli też łakomili się na skarb i kopali dołki na grzbiecie Góry lub pakowali się do jaskini nad rzeką, w której pewnie nic poza nietoperzami nie było. To, że nikt niczego nie znalazł, nie przeszkadzało pozostałym, którzy mieli nadzieję, że to właśnie im się uda odkryć poniemieckie skrzynie. Szepetano też wśród dorosłych o Herbercie Klose, który po wojnie został w Sędziszowej, choć inni Niemcy uciekli. To był niezbity dowód, że właśnie on pilnuje skarbu i tylko on wie, gdzie naprawdę należy go szukać. Nigdy nie poznałam Herberta Klose. Ale był prawdziwy i jednocześnie legendarny. Umarł i nie wyjawiał swojej tajemnicy. A może nie było żadnej tajemnicy?

Dom trzeci

Do trzeciego domu wyprowadziłam się z płaczem. Nie chciałam jechać do miasta. U babci było jak u pana Boga za piecem, a miasto było takie obce, surowe, wypełnione, z ludźmi, których nie znałam. W mieście było przedszkole, którego nie znośiłam. Mój trzeci dom mieścił się w Złotorii przy ulicy Kruczej 7. Był to typowy peerelowski klocek z betonu, z małym ogródkiem. Dostaliśmy parter dwurodzinnego budynku – całe pół domu, a w rzeczywistości dwa pokoje, kuchnię, łazienkę (!) i spiżarnię. Zawsze to więcej niż jeden pokój u babci, ale niebawem okazało się, że nasza trzypersonowa rodzina powiększy się i z kuchni rodzice przerobili pokój, a kuchnię upchnęli w miejsce spiżarni. Po wielu latach nastąpił proces odwrotny, bo i ja i brat poszliśmy „na swoje”. Dom stał wśród innych podobnych w nowej części miasta, daleko od centrum, za to blisko szkoły, do której niebawem miałam pójść. Ulica była mało ruchliwa i nie było na niej jeszcze asfaltu, tylko bazaltowe kamienie, na których rozbijałam kolana, próbując jeździć na rowerze. Kilkaset me-



trów dalej budował się szpital. W ogóle wszędzie coś się budowało, więc czas spędzaliśmy, kryjąc się w wykopach pod fundamenty lub w wielkim wężowozie zwanym „dołem”, który służył za wysypisko śmieci. O dziwo nam - dzieciakom - to wcale nie przeszkadzało i świetnie się bawiliśmy w chowanego. Dziś w tym miejscu stoją domki jednorodzinne. Dziś w ogóle jest inaczej. Ale to już zupełnie inna historia.

Iwona Pawłowska



Z wizytą w Kudowie

W malowniczej dolinie, pomiędzy wzniesieniami Gór Orlickich i skalnymi platformami Gór Stołowych leży jedno z najstarszych europejskich uzdrowisk – Kudowa-Zdrój. Uzdrowisko znane od stuleci z leczniczych właściwości wód mineralnych, których źródła biją w samym sercu uzdrowiska – w Parku Zdrojowym.

Pierwsze wzmianki o miejscowości pochodzą z 1354 r. Wieś, która dała początek miastu, położona była na terenie Czech i nazywała się *Lipolitov*, a następnie *Chudoba*. Legenda głosi, że nazwa ta (w języku polskim bieda) odzwierciedlała status materialny mieszkańców. Zna na jest też nazwa *Čermenské Lázně*. W 1622 r. pierwszy opis kudowskich wód mineralnych został zawarty w "*Glacigrافي*" Aelurusa. W XVII w. odkryto źródła leczniczych wód o zróżnicowanym składzie chemicznym. W 1636 r. powstały pierwsze drewniane urządzenia kąpielowe. W 1742 r. wraz z najbliższą okolicą została przyłączona do Ziemi Kłodzkiej i wraz z nią do Śląska. W 1777 r. ukazała się we Wrocławiu broszura pt. „*Publiczne Uwiadomienie Zdrójów Zdrowych lub wód mineralnych leczących na Śląsku w Kodowie, Reynercu, Altwasser, Szarlottenbrun, Salcbrun i Flinsbergu się znajdujących*”. Było to dokonane przez Dawida Vogla tłumaczenie niemieckiej książeczki, wydanej w 1774 r., autorstwa Johanna Gotfrieda Morgenbessera, wrocławskiego lekarza i chemika. Publikacja zawierała informacje obejmujące m.in. wyniki przeprowadzonych analiz, skład chemiczny wód oraz medyczne ich zastosowanie. Już w 1783 r. miejscowość stała się własnością spółki lekarzy, którzy zorganizowali nowoczesne jak na owe czasy uzdrowisko. W połowie XIX w. pojawiło się pierwsze naukowe opracowanie wód mineralnych, którego autorem był Adolf Duflosa. W połowie XIX w. kurort został uznany za pierw-

sze uzdrowisko kardiologiczne na terenie Niemiec!!! Dla rozwoju miasta jako uzdrowiska wiele dało otwarcie linii kolejowej Kłodzko-Kudowa-Czechy w 1905 r. W okresie dwudziestolecia międzywojennego zjeżdżała się tutaj śmietanka towarzyska Dolnego Śląska i nie tylko. Warto także podkreślić, że rozwój ruchu uzdrowiskowego w Kudowie w XIX w i I poł. XX w., miał korzystne znaczenie dla tworzenia się wyższego poziomu zamożności otaczających miasteczko terenów i lokalnych społeczności. Obsługa ruchu turystycznego i praca przy zabiegach, wykonywanych pacjentom uzdrowiska, stały się dla wielu mieszkańców źródłem dochodu. Uzyskiwali oni także dochody z wynajmu pokoi i całych chat na noclegi, sprzątnięcia, dostarczania produktów spożywczych, czy wytwarzania i sprzedaży pamiątek. Poważnym źródłem dochodu były także przewozy kuracjuszy z najbliższej stacji kolejowej do hoteli i pensjonatów. Dochody osiągał też właściciel lokalnych karczm, kwiatciarze, krawcy, szewcy i przedstawiciele innych zawodów, mogący sprzedać wytwory swojej pracy osobom przyjeżdżającym do Kudowy. W ten sposób sezon uzdrowiskowy pozwalał w ciągu kilku miesięcy osiągać dochody, które można było skumulować i w przyszłości przeznaczyć na inwestycje, albo podwyższyć poziom własnej konsumpcji. Dochody uzyskiwane od kuracjuszy stanowiły bardzo ważny element w biednej i małomiasteczkowej społeczności Kudowy. Stymulowały kształtowanie się rynku wewnętrznego i lokalnego popytu, większość gości uzdrowiskowych stanowili bowiem klienci z kraju.

Podczas II wojny światowej często kuracjami byli ranni żołnierze. Poza tym w Kudowie znajdowała się filia obozu Gross-Rosen, w której pracowało ok. 3 tysięcy więźniów różnych narodowości, w tym polskiej.

Po zakończeniu II wojny światowej w 1945 r., pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Republiką Czechosłowacką toczył się spór graniczny, między innymi o Kudowę. Miasto weszło jednak w skład państwa polskiego, jego dotychczasową ludność wysiedlono do Niemiec.

W 1945 r. Kudowa otrzymała prawa miejskie, w 1946 r. oficjalnie nadano jej obecną nazwę. W okresie komunizmu rozbudowano dzielnicę przemysłową Zakrze, zmodernizowano bazę sanatoryjno-wczasową, powstało nowe osiedle mieszkaniowe z zapleczem socjalno-handlowym i domem kultury. Bogata i burzliwa historia miasta ujawnia się w wielu zabytkach, m.in. tajemniczej Kaplicy Czaszek. Szczegółowo mówiąc, każdy z nas tutaj znajdzie coś dla siebie. Zaczniemy od kuracjuszy. Atutem zdrojowiska są szczawy wodorowo-węglanowo-sodowo-wapniowe, żelaziste i borowe. Stosuje się je do kuracji pitnej, kąpeli mineralnych i unikatowych na skalę światową tzw. suchych kąpeli. Innym naturalnym surowcem leczniczym jest znana w wielu uzdrowiskach borowina, którą stosuje się do kąpeli i okładów. W Zakładzie Przyrodolecznictwa, usytuowanym w centrum Parku Zdrojowego, wykonuje się ponad 50 rodzajów zabiegów leczniczych, takich jak m.in. wspomniane już przeze mnie okłady borowinowe, fango, kąpiele mineralne, solankowe, borowinowe i gazowe z CO₂, zabiegi odchudzające a także różnego rodzaju masaże. Leczenie dorosłych obejmuje choroby przewodu pokarmowego, ortopedyczno-urazowe, endokrynologiczne, otyłość, choroby układu krwiotwórczego, układu krążenia, choroby reumatologiczne. Poza tym uzdrowisko, jako jedno z nielicznych w Polsce, specjalizuje się w leczeniu otyłości i nadwagi wśród dzieci i młodzieży. W ofercie skierowanej do młodych ludzi znajduje się pełen zakres rehabilitacji schorzeń układu ruchu.

Smakosze historii odnajdą tutaj ślady słyn-

nych osobistości, którzy gościli w Kudowie, a z których warto wymienić chociażby: brytyjskiego premiera Winstona Churchilla, króla Prus Wilhelma III, słynnego pisarza Bruno Schulza czy papieża Jana Pawła II.

Amatorzy pieszych wycieczek będą mogli spacerować pięknymi szlakami turystycznymi w dolinach i nie tylko, na pograniczu wspomnianych już przeze mnie Gór Stołowych i Pogórza Orlickiego. To idealne miejsce na spędzenie wolnego czasu z bliskimi. Szczegółowo polecam.



Tomasz Szymaniak

Bibliografia:

1. J. Czerwiński, R. Chanas, *Dolny Śląsk – przewodnik*, Warszawa 1977 s. 167-168.
2. M. Żukow-Karczewski, *Pięknem urzeczeni (trzy zapomniane relacje)*, „AURA”, nr 1/1998 r.
3. Zarządzenie Ministrów: Administracji Publicznej i Ziem Odzyskanych z dnia 7 maja 1946 r. (M.P. z 1946 r. nr 44, poz. 85).

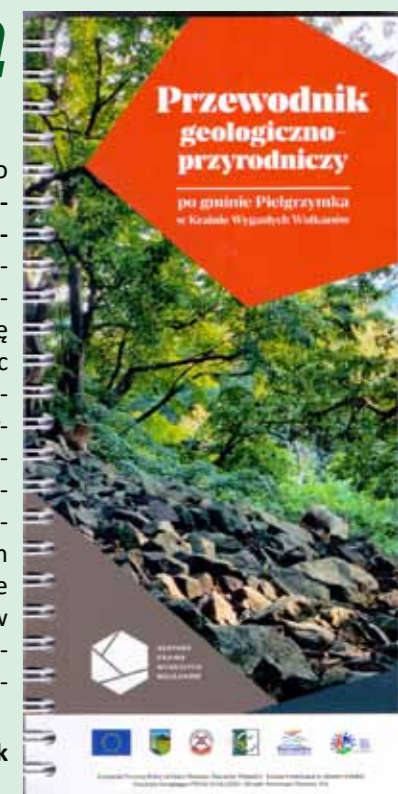


Spa Kudowa - Ehles Wandelhalle

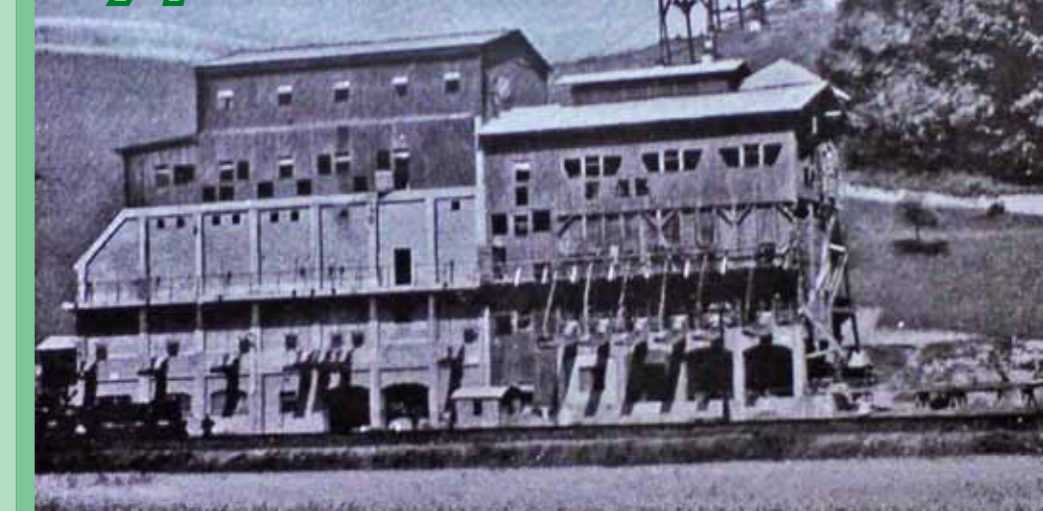
Weekend z geologią i historią

Planując weekendowy wypad w najbliższą okolicę, warto zajrzeć do ostatnio wydanego „**Przewodnika geologiczno-przyrodniczego po gminie Pielgrzymka w Krajinie Wygastych Wulkanów**”. Część geologiczną opracował Aleksander Kowalski z Oddziału Dolnośląskiego Państwowego Instytutu Geologicznego, który prowadzi czytelnika i turystę przez świat skał i minerałów naszej okolicy, proponując szczegółowo opisane trasy wycieczek geologicznych. Częścią przyrodniczą, w tym przedstawieniem atrakcji turystycznych miejscowości gminy Pielgrzymka, zajęli się Wioleta Michalczyk, Marzena Szkutnik, Cezary Skała i Stowarzyszenie Kaczawskie. Jego wydanie umożliwiły środki pozyskane przez Gminę i Fundację Wulkan Energii w ramach projektu grantowego. Przewodnik ten świetnie promuje Geopark Kraina Wygastych Wulkanów. W takim razie, w najbliższy weekend, wyruszamy z nim na poznawanie okolic Złotoryi, zaczynając od budowy geologicznej, nie zapominając jednakże o ciekawostkach historycznych.

Wioleta Michalczyk



Kruszarnia czy pieczarkarnia?



Wielu z nas zastanawia się co to za „tajemnicza” betonowa budowla znajdująca się przy ul. Kamiennej pod samym lasem... Zatem w skrócie wyjaśniam, jest to budynek byłej kruszarni bazaltu Georga Urbana – przedwojennego złotoryjskiego przedsiębiorcy, który był również właścicielem pobliskiej kopalni bazaltu oraz tartaku. Kamieniom znajdował się przy dzisiejszej ul. Piastowej, a wydobyty urobek transportowany był koleją linową aż do kruszarni (do dzisiaj możemy natrafić na betonowe cokoły od kolei linowej). Przy kruszarni była bocznicą kolejowa, która ułatwiała załadunek/transport bazaltu. W późniejszych la-

tach w budynku byłej kruszarni mieściły się magazyny oraz tzw. „pieczarkarnia”. Kopalnia bazaltu funkcjonowała w latach 1926-1965, po czym została zlikwidowana. W byłej kopalni przez lata składowano odpady... Nieczynne wyrobisko zalały wody gruntowe i powstało tzw. „oczko”, na które wbrew zakazom wielu z nas chodziło się kąpać latem. Obecnie na terenie kamieniołomu powstają domki letniskowe.

Budynek kruszarni niszczeje, a przez lata był miejscem spotkań młodzieży.

Przemysław Markiewicz

Pamiątkowe tablice - cz. II



obronne/wzniesione/w wieku XV/rozbudowane/w wieku XVI/zostały/ uporządko-/wane przez/ Prezydium/ Miejskiej Rady/ Narodowej/ w Złotoryi/ w roku/ 1966-1967, b) Rewaloryzację XIV-wiecznego/ muru obronnego wykonano/ w roku 2006 w ramach programu/ operacyjnego/ Dziedzictwo Kulturowe/ priorytetu "Rewaloryzacja zabytków nieruchomości/ i ruchomych". Zadanie współfinansowane ze środków/ Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego/ oraz Miasta Złotoryja/ Burmistrz Miasta Złotoryja/ Ireneusz Żurawski.

Obok wejścia do siedziby Powiatowej Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej (ul. S. Staszica 22) odsłonięto niedawno tablicę, dotyczącą pobytu w mieście Sióstr Elżbietanek: **W latach 1889-1954 budynek ten był domem Zgromadzenia/ Sióstr św. Elżbiety, zwanych Szarymi Siostrami. Przybyły do/ Złotoryi w 1858 r., do 1889 r. zamieszkiwały w byłym/ klasztorze franciszkanów./ Opiekowały się chorymi i ubogimi, bez względu na/ wyznanie, pracowa-**

ły w szpitalach, działały charytatywnie,/ prowadziły przedszkole. Decyzją władz komunistycznych w/ 1954 r. zostały usunięte z miasta/ i już nie powróciły. Burmistrz Miasta Złotoryja/ Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej/ Zakon Braci Mniejszych w Złotoryi/ Powiatowa Stacja Sanitarnej-Epidemiologiczna w Złotoryi/ Złotoryja, 18 września 2021 r.

Wewnątrz kościoła św. Jadwigi przystanąć warto przed trzema tablicami: a) **Na większą chwałę Boga w Trójcy Jedynego/ Jubileum A.D. 2000/ Christus heri hodie semper/ Na pamiątkę/ Wielkiego Jubileuszu/ 2000/ Złotoryja/ Diecezja Legnicka/ Dar Ryszarda Raszkiewicza/ Starosty/ Powiatu/ Złotoryjskiego/ A.D. 2000,** b) **"Dobre czyny pójdą za wami"/ z Pisma Św./ Śp./ Ksiądz Kanonik/ Stanisław Jakubowski/ Dziekan Dekanatu Złotoryja/ i/ proboszcz parafii/ p.w. Świętej Jadwigi w Złotoryi/ w latach 1971-1986/ Wyrazy wdzięczności i modlitwnej pamięci/ składają parafianie i duszpasterze/ Złotoryja 2006,** c) **Na pamiątkę powrotu Franciszkanów/ po 204 latach nieobecności./ Złotoryja, 1 lipiec 2014 r.**

Przy ul. Szkolnej 1, obok wejścia do Domu Nauczyciela, odsłonięto tablicę z następującą inskrypcją: **W stulecie urodzin/ Władysława/ Spasowskiego/ 1877-1941/ Wybitnego polskiego/ pedagoga, teoretyka/ i prakty-**



Przyjrzyjmy się teraz pamiątkowym tablicom, znajdującym się przy ul. Stanisława Staszica, w kościele św. Jadwigi, przy ul. Szkolnej oraz na pl. Sprzymierzeńców. Przypomnijmy także prośbę o informacje na temat tablic, które umieszczono w mieście po 1945 r., ale potem zostały zlikwidowane.

Budynek Ośrodka Szkolno-Wychowawczego szczyty się dwiema tablicami: a) **Specjalny Ośrodek/ Szkolno-Wychowawczy/ Janusza Korczaka/ Imię nadano w 100-ną rocznicę urodzin/ wielkiego pedagoga i przyjaciela dzieci/ Złotoryja 1978 Komitet Organizacyjny,** b) **Tablica pamiątkowa/ z okazji/ Roku Janusza Korczaka/ ufundowana przez pracowników/ i młodzież Zakładu Poprawczego/ w Jerzmanicach-Zdroju/ wrzesień 2012.**

Naprzeciwko tej szkoły, przytwierdzone do muru obronnego, znajdują się informacje o jego renowacjach: a) **Mury**

miologicznej (ul. S. Staszica 22) odsłonięto niedawno tablicę, dotyczącą pobytu w mieście Sióstr Elżbietanek: **W latach 1889-1954 budynek ten był domem Zgromadzenia/ Sióstr św. Elżbiety, zwanych Szarymi Siostrami. Przybyły do/ Złotoryi w 1858 r., do 1889 r. zamieszkiwały w byłym/ klasztorze franciszkanów./ Opiekowały się chorymi i ubogimi, bez względu na/ wyznanie, pracowa-**

Wczoraj, a nie dzisiaj - 13 grudnia

Dobrze, że w ostatnim "Echu" przypomniany został "mroczny, smutny i krwawy" stan wojenny (Iwona Pawłowska, 13 grudnia). Spojrzeliśmy na ten czas oczyma 11-latk, a więc zupełnie inaczej, niż w poprzednich artykułach, na przykład omawiających książkę, wydaną przez Urząd Miejski w 2020 r.

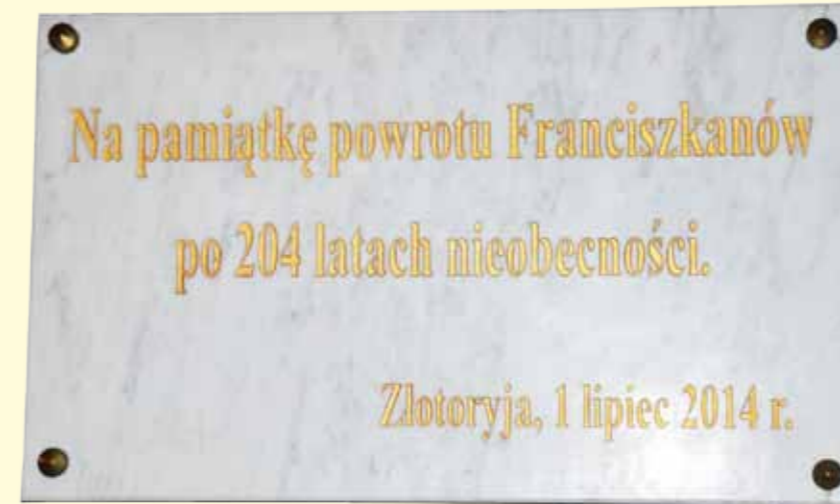
Autorka postanowiła jednak dokonać pewnych, moim zdaniem niedopuszczalnych, porównań. Zastanawiając się, jak przybliżyć współczesnym nastolatkom tamte czasy, pisze: "Może niech spróbują sobie wyobrazić, że budzą się rano i nie działają komórki, nie działa internet. Nie ma fejsa, instagrama, messenger też milczy. Jesteśmy wszyscy w czarnej... dziurze. Ba, wyłączyli TVN i Polsat. Została TVP. A tam umundurowany Tomasz Kammel z równie służbowo odzianą Danutą Holecą. I co chwilę puszczają przemawiającego Błaszczaka w ciemnych okularach. Tak to mniej więcej mogłoby wyglądać, gdyby zdarzyło się dziś". "Dziś, mając pół wieku na karku, nie umiem wyobrazić sobie, co by było, gdyby nagle na kilka dni odcięto nam prąd, odebrano łączność, a co dopiero – wolność. I obym nie musiała tego doświadczać".

Być może ktoś z młodych ludzi potaktuje poważnie polityczne aluzje i analogie, a co za tym idzie uwierzy w jakieś skryte plany owego Błaszczaka i całego PIS-u (a dlaczego premier Mateusz Morawiecki lub Jarosław Kaczyński?). Może ktoś zarechocze nawet przy tych nazwiskach...

Pragnę uspokoić zarówno autorkę artykułu oraz czytających jej tekst nastolatków, np. uczniów złotoryjskich szkół. Z pewnością tego nie doświadczą. Przynajmniej za tej władzy. Wszystko jest na szczęście inne, obecnych rządów nie można porównywać z komunistyczną dyktaturą, podległą sąsiedniemu mocarstwu, której obca była jakakolwiek demokracja. Być może niechęć, ale jednak autorka przyznała, że teraz mamy wolność oraz pluralizm, np. mediów.

Rzecz jasna, nie wiem, co się kiedyś wydarzy. Być może, po zmianie władzy, komuś zamarzy się dyktatura i stan wojenny w jej obronie... Przecież wciąż nie brakuje także złotoryjan, którzy dobrze wspominają stan wojenny z 1981-1983.

Roman Gorzkowski



ka. Autora/ dzieł pedagogicznych/ prekursora/ pedagogiki socjalistycznej w Polsce/ Nauczyciele młodzieży/ Złotoryja 28 XII 1977.

Przy pl. Sprzymierzeńców, u podnóża Góry Mieszczańskiej, funkcjonuje strzelnica sportowa, którą opiekuje się Złotoryjski Klub Sportowy "Agat". Tutaj czytamy: **Obiekt adaptowany na/ strzelnicę sportową w 1977/ Od 1980 administrowany przez/ Ośrodek Sportu i Rekreacji./ Strzelnica rozbudowana w/ latach 1980-1984 ze środków/ Totalizatora Sportowego przy/ współudziale złotoryjskich/ zakładów pracy oraz/ aktywu Ligi Obrony Kraju.**

Roman Gorzkowski
Sylvia Dudek-Kokot



Przy kolumnie zadumy



Od 29 grudnia 2021 r. możemy znów przystanąć obok kamiennej kolumny i zadumać się nad przemianami naszego życia. Zresztą, na szczęście, nie sposób ominąć zarówno kościoła św. Mikołaja z podobną symboliką oraz stojącej tuż obok niego kolumny.

Pomysłodawcą odtworzenia skradzionego w latach 90. XX w. obiektu było Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Z jego ramienia doglądali całego przedsięwzięcia: Bogusław Cetera, Alfred Michler, Józef Banaszek, Jan Wol-

ski oraz Jerzy Gryszkiewicz, którzy m.in. zebrali niezbędną dokumentację. Fundament przygotowała firma Grzegorza Stafisza, kolumnę wykonał i wyrzeźbił twarze mistrz kamieniarski Paweł Zatwardnicki z Nowej Wsi Grodzkiej. Koszty wyniosły ponad 21 000 tys. złotych, w tym 20 tys. z Budżetu Obywatelskiego.

W 2022 r. TMZZ przewidziało uroczyste odsłonięcie i poświęcenie kolumny.

✍️ Roman Gorzkowski,
📷 Marek Zinkiewicz

Życie Złotoryi o nowej szkole

ORGAN POWIATOWEGO KOMITETU FRONTU NARODOWEGO

Dnia 1. IX. br. społeczeństwo Złotoryi otrzymało nowy, piękny gmach szkolny. Jeszcze jeden rzeczowy dowód troski władzy ludowej i partii o ludzi pracy, o dzieci chłopów i robotników. Ilu to obywateli z niedowierzaniem patrzyło na budowany gmach, na żółwie tempo pracy przedsiębiorstwa budowlanego z Jeleniej Góry. A tymczasem w jednym gmachu Szkoły Podstawowej przy Placu Zwycięstwa uczyły się dwie szkoły, ciasnota lokalowa wpływała źle na młodzież i na wyniki nauczania.

We wrześniu skończyło się to ostatecznie. Młodzież Liceum Ogólnokształcącego otrzymała nowoczesną szkołę, wyposażoną w umywalnie, szatnie, prysznic i salę gimnastyczną. Jasno pomalowane, słoneczne klasy stwarzają miłą atmosferę pracy.

Troskliwa pomoc i opieka władzy ludo-

wej czyni radosnym życie młodzieży naszych miast i wsi. Dla wszystkich młodych jest dostępna praca i nauka, wypoczynek, rozrywka i sport. Młodzież musi pamiętać o tym, że najlepiej może się odwdziżyć za to państwu "piątkami" otrzymanymi za dobrą naukę. Każdy uczeń i uczennica musi być świadomy tego, że uczy się nie dla ojca, matki czy nauczyciela, ale dla siebie, żeby wyrósł na dobrze wychowanego, wartościowego obywatela.

Grono nauczycielskie nowej szkoły ma wielkie zadanie do wykonania. W serdecznej koleżeńskej atmosferze trzeba współzawodniczyć o lepsze wyniki nauki i wychowanie pozalekcyjne. Życzymy nauczycielom i młodzieży pomyślnych wyników w nowym roku i w nowej szkole.

15 października 1954



Wracamy do szkoły

Wprawdzie od początku roku szkolnego minęło już trochę czasu, ale po kolejnych okresach "zdalnego" nauczania wydaje się, że ciągle powraca 1 września. Przypominamy więc znaleziony gdzieś rysunek, pokazujący, jak mógłby wyglądać ten ważny dzień. Nie mielibyśmy nic przeciwko temu, gdyby dokładnie takie wydarzenia regularnie rozgrywały się na ulicach naszego miasta, np. przed Szkołą Podstawową nr 1 lub 3. A ten mężczyzna w okularach i z tęczką przypomina nawet jednego z naszych nauczycieli...

Redaktorzy-nauczyciele

Kącik starej widokówki Skalnicy z początku wieku



Jak słychać, zmarł już na dobre jeden z pobliskich kamieniołomów i teraz wypada czekać na rekultywację wzgórze, odnowę rezerwatu i urządzenie, być może, geoparku. Ponad sto lat temu wydobycie trwało pełną parą a ówczesni

koledzy naszych niedawnych skalników z dumą pozowali do fotografii. Takie pamiątki pełniły potem rolę widokówek, rozsyłanych do rodzin, co umożliwiały poziome linie na odwrocie papieru fotograficznego. Mamy nadzieję, że

nietrudno będzie odgadnąć, o jaką kopalnię bazaltu chodzi (proszę przyrzeć się dokładnie napisowi na tabliczce, trzymanej przez robotników).

✍️ Piotr Klimaszewski
✍️ Roman Gorzkowski

Jeszcze niespełna pół wieku temu, w jednej z niedalekich Złotoryi miejscowości, cieszył historyków sztuki oraz turystów ciekawy zabytek. Ufundowany został przez rodzinę Schindlów, którzy przybyli tutaj najprawdopodobniej w XVI w. i zbudowali ogromny folwark. Tak o tych obiektach pisała w 1971 r. Bożena Steinborn z Uniwersytetu Wrocławskiego: "Z czasów jego rozkwitu w XVI w. zachowała się brama wjazdowa w górnym majątku, z portalem dla

Historia jednej fotografii



Zapomniany pałac

pieszych, zdobiona ornamentem roślinnym i okuciowym (ostatnio zamalowanym) [...]. W obrębie majątku wznosił się barokowy pałac z bogatym portalem wejściowym, ujętym w skośnie ustawione filary dźwigające balkon o ażurowej, kamiennej balustradzie. Na parterze pałacu znajduje się sien z stiukową dekoracją sklepienia. Budowla powstała w pierwszej połowie XVIII w." Obok zamiesz-

czamy dwie unikalne fotografie, które utrwaliły moment rozbiórki pałacu.

Prosimy czytelników o lokalizację tej miejscowości oraz jej części, w której wznosił się pałac. Cieszylibyśmy się również z informacji dotyczących dziejów zabytku oraz okoliczności jego zniszczenia.

✍️ Roman Gorzkowski

Dobrze zainwestowany 1% Twojego podatku



Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1

KRS 0000124632

ECHO
ZŁOTORYI



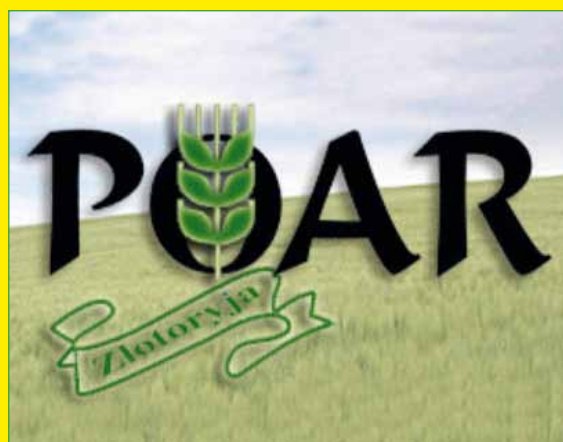
- ✓ Koło Kresowian
- ✓ Klub Kolekcjonera
- ✓ Echo Złotoryi
- ✓ Biblioteczka Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
- ✓ Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej
- ✓ Złotoryjski Klub Fotograficzny
- ✓ Rajdy i Szlaki św. Jadwigi oraz św. Jakuba
- ✓ Księgarnia Internetowa

GALERIA SPONSORÓW



lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 768783 480, fax +48 76 8783 212



grysy bazaltowe

- * płukanki
- * kolorowe
- * posypki
- * mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus”), www.tmzz.pl, e-mail: echozlotoryi@tmzz.pl

Redakcja: Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Marta Klonowska-Procków (korekta), Wioleta Michalczyk, Agnieszka Młynczak, Krystyna Rybicka i Bogusław Cetera (dystrybucja), Przemysław Markiewicz, Iwona Pawłowska (redaktor naczelna), Joanna Siembida, Tomasz Szymaniak, Andrzej Wojciechowski.
Zdjęcie na okładce: Szymon Hryniewiecki - Złotoryja z lotu ptaka.

ECHO
ZŁOTORYI



Echo Złotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok

